

Więcej radości
niż trosk
w Nowym
1980 Roku
życzeń swoim
Czytelnikom
i Współ-
pracownikom
Redakcja



Po raz pierwszy Górnicy wydobyli 200 mln ton węgla

Wczoraj, między godziną 10 a 12, polski przemysł węglowy wykonał swoje tegoroczne zadania wydobywcze, wynikające z Narodowego Planu Społeczno-Gospodarczego, dostarczając gospodarce narodowej 200 mln 400 tys. ton węgla kamiennego. Zamełdowano o tym osiągnięciu, w imieniu górniczego stanu, na spotkaniu aktywnych z przodujących w Rybnickim Okręgu Węglowym Kopalni „1 Maja”. Do końca roku załogi naszych kopalni wydobędą dodatkowo jeszcze ok. 600 tys. ton węgla.

Rok ten był dla naszego przemysłu węglowego kolejnym o kresie intensywnego wzrostu wydobywa i rozwoju potencjału technicznego górnictwa. Uległo ono dalszemu gruntownemu przeobrażeniu jakościowym. Systematycznie postępuje mechanizacja i automatyzacja procesów produkcyjnych, w oparciu o

najwyższej klasy technikę: w ścisłej współpracy z zapleczem naukowym wdrażane są nowatorskie technologie urabiania pokładów, zapewniające wzrost wydajności lepsze warunki i wyższy poziom bezpieczeństwa pracy pod ziemią. Blisko trzy czwarte polskiego węgla pochodzi już ze ścian kompleksowo zmechanizowanych.

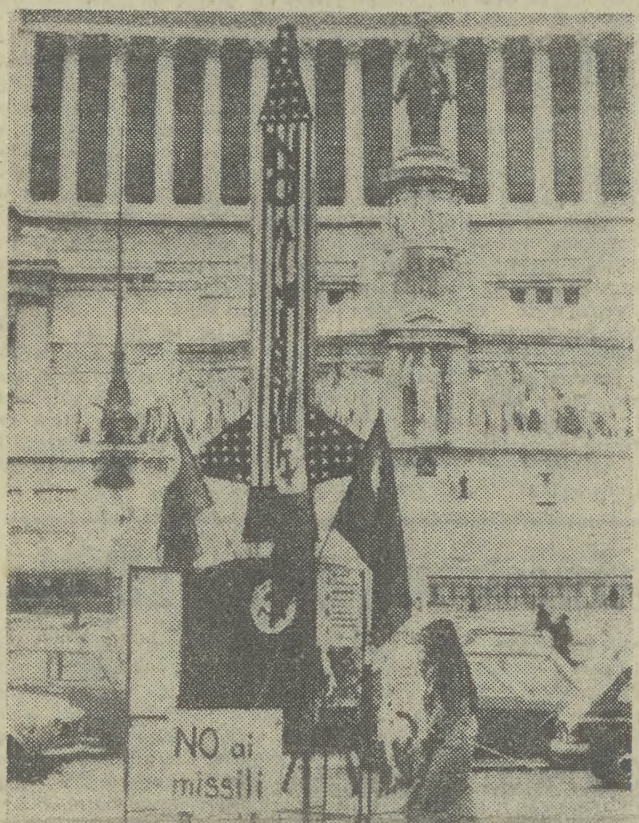


Stary rok pożegnał nas śniegiem i mrozem.

Fot. CAF Momo

Depesza przywódców polskich do F. Castro

WARSZAWA (PAP). Z okazji 21. rocznicy zwycięstwa rewolucji kubańskiej Edward Gierka, Henryk Jablonski i Piotr Jaroszewicz skierowali do Fidela Castro depeszę z przyjaźnielskimi pozdrowieniami i najlepszymi życzeniami dla Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Kuby, Rady Państwa i rządu Republiki Kubańskiej oraz narodu kubańskiego.



Makieta amerykańskiej rakiety na Placzu Wenezja w Rzymie z napisem „Nie dla rakiet” to jedna z wielu form protestu przeciwko rozmieszczeniu w krajach zachodnich nowych amerykańskich środków przenoszenia broni jądrowej. CAF — UPI

8 tygodni kryzysu USA — Iran

Zapowiedź mediacji K. Waldheima • Rząd Panamy zbada sprawę ekstradycji b. szacha

DELHI, WASHINGTON (PAP). W niedzielę upłynął 8 tydzień głębokiego kryzysu w stosunkach między Iranem i Stanami Zjednoczonymi, zapoczątkowanego zatrzymaniem przez studentów teherańskich ok. 50 obywateli USA. Wokół ambasady USA w stolicy Iranu odbywają się nieustanne demonstracje Iranczyków, żądających od Waszyngtonu wydania byłego cesarza Iranu i wyrzucenia prezydenta mianu.

Gotowość wystąpienia w roli mediatora w sprawie uwolnienia przetrzymanych w ambasadzie USA zakładników amerykańskich wyraził sekretarz generalny ONZ, Kurt Waldheim. Zakomunikował on, że w każdej chwili może udać się do Teheranu i spotkać z ajatollahem Chomeinim. Irańska Rada Rewolucyjna ma się wkrótce wypowiedzieć, czy Iran zaakceptuje pośrednictwo Waldheima. Tymczasem w niedzielę, student okupujący ambasadę USA stanowczo sprzeciwili się rozmowom z Waldheimem.

Rząd amerykański, który zwrócił się o zwołanie posiedzenia Rady Bezpieczeństwa ONZ w celu nałożenia na Iran sankcji gospodarczych, zrezygnował w sobotę z formalnego wysunięcia tego wniosku, uzasadniając swą decyzję wspom-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

magazyn

M

poniedziałek
wtorek

PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ!



GAZETA Południowa

DZIENNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ
KRAKÓW ■ NOWY SĄCZ ■ TARNÓW

31. XII. 1979 R., 1. I. 1980 R. NR 292 (9811) ROK XXXI ♦ CENA 1 Zł ♦ WYD. A,

H. Jablonski w Zakładach im. Waryńskiego

WARSZAWA (PAP). Członek Biura Politycznego KC PZPR, przewodniczący Rady Państwa Henryk Jablonski złożył 29 bm. wizytę w Zakładach Węglowych im. Waryńskiego i wziął udział w tradycyjnym noworocznym spotkaniu aktywów społeczno-gospodarczych fabryki.

Księga życzeń noworocznych

WARSZAWA (PAP). Kancelaria Rady Państwa zawiadamia, że księga życzeń noworocznych wydłona będzie w Sali Pompejskiej Belwederu w dniu 1 stycznia 1980 r. w godz. 11.00-13.00.

Z prac Rady Ministrów

W roku 1980 — 16 dodatkowych dni wolnych od pracy

WARSZAWA (PAP). Jak informuje rzesznik prasowy rządu — 29 bm. Rada Ministrów, na tle wstępnych rezultatów uzyskanych w realizacji tegorocznego planu, omówiła kierunki działań na najbliższe miesiące nowego roku. Podkreślono, iż obecnie zadaniem najważniejszym dla centralnej i terenowej administracji państwowej i gospodarczej jest tworzenie warunków oraz podejmowanie działań i prowadzenie pracy, która zapewniłaby rytmiczną realizację zadań planu 1980 r.

Rada Ministrów, po porozumieniu z Centralną Radą Związków Zawodowych, powzięła uchwałę w sprawie zasad i terminów wprowadzania dodatkowych dni wolnych od pracy w roku 1980. Ustalono, że pracownicy uspołecznionych zakładów pracy mogą otrzymać w roku przyszłym 16 dodatkowych dni wolnych od pracy, w następujących terminach: w sobotę — 12 i 26 stycznia, 2 i 16 lutego, 8 marca, 19 kwietnia, w piątek — 9 maja i dalej w sobotę — 21 czerwca, 5 lipca, 23 sierpnia, 20 września, 25 października, 3 i 22 listopada oraz 6 i 20 grudnia.

Przy wprowadzaniu dodatkowych dni wolnych od pracy obowiązować będą te same zasady i warunki co w latach poprzednich.

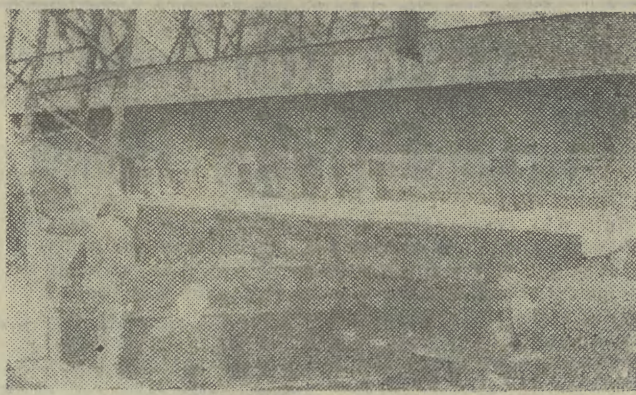
Na wiadukcie w al. 29 Listopada w Krakowie

„Mostostal” zamontował milionową tonę konstrukcji

(Inf. wł.). Krakowski „Mostostal” budując i rozbudowując Hute im. Lenina a potem Hute im. Nowotki w Ostrowcu Świętokrzyskim i Hucie Katowice, kładł podwaliny pod „stalową” Polskę. I tak zbierało się milion ton zamontowanych konstrukcji.

W sobotę, z okazji zamontowania milionowej tony na wiadukcie w al. 29 Listopada w Krakowie, do siedziby przedsiębiorstwa, na spotkanie z aktywnym przybył zastępca członka Biura Politycznego KC, i sekretarz Komitetu Krakowskiego Partii — Kazimierz Barcikowski. Obecni byli również sekre-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)



Fot. O. Link

Rok miniony, rok przyszły

Już za kilkanaście godzin witac będziemy nadejście Nowego 1980 Roku. W tę tradycyjnie radosną, sylwestrową atmosferę wkłada się zawsze chwila refleksji — znowu przyszło nam zamknąć jakiś okres, przerzucić kolejną kartkę historii — tej wielkiej ogólnoludzkiej, narodowej i tej małej, niejako prywatnej, naszej. Mimowolnie nawet próbujemy ocenić miniony rok. To co w nim było dobre i to, czego nie udało nam się jeszcze dokonać. I z nadzieją patrzymy w ten nowy, nadchodzący czas.

Jak oceniasz rok stary, czego oczekujesz od nowego? Z tymi pytaniami nasi reporterzy zwrócili się do kilku rozmówców. Oto ich odpowiedzi:

KAZIMIERZ KOTWICA, dyrektor naczelny FMWIG „Glinik” w Gorlicach:

— Upływający rok był najtrudniejszy w mojej 20-letniej karierze dyktorskiej, ale zebrany plan robotniczego trudu utwierdził mnie w wierze w ludzi, w ich zdolność przezwyciężania największych progów trudności. Na krótkiej przestrzeni czasu załoga „Glinika” opanowała produkcję najnowocześniejszych obudów osłonowych dla górnictwa węglowego — kompletami obudów „Glinik 05/15” i „Glinik 08/22” uzbiliśmy w tym roku 27 ścian wydobywczych. Fabryka wykonała 2 prototypy urządzeń wiertniczych N-40 pracujących do głębokości 5 tys. metrów i N-25, sięgających pokładów na głębokości 3 tys. metrów. Nowy zakład metalurgiczny osiągnął docelową produkcję 33 tys. ton odkuwek. Na kładem 6 mld zł ruszyła budowa odlewni staliwa o wydajności 38 tys. ton odlewów rocznie — zapewniająca kompleksowy i ciągły rozwój fabryki. 280 członków naszej młodej załogi otrzymało klucze do nowych mieszkań. Rok 1980 stawia przed naszą fabryką o 13

procent zwiększone zadanie produkcyjne. Ich wykonanie to dużej mierze uzależnione będzie od dobrze funkcjonującej kooperacji, dalszej mechanizacji procesów produkcyjnych i zaopatrzenia materiałowego — marzy mi się zgodna harmonia w grze tych podstawowych instrumentów.

Osobistych satysfakcji nie rozdzielał między rodziną a fabryką — dlatego mogę pochwalić się, że dwie córki po ukończeniu studiów wyższych rozpoczęły pracę w fabryce, a syn kontynuuje rodzinną tradycję studiując na AGH.

CZESŁAW BASZ, dyrektor naczelny Zjednoczenia Przemysłu Wyróbów Metalowych „Polmetal” w Krakowie:

— Mimo znanych, ubiegłorocznych trudności energetycznych, surowcowych i transportowych, zgrupowane w naszym zjednoczeniu zakłady zdołały wykonać globalne zadania produkcyjne za rok 1979. I to satysfakcjonuje. Mniej cieszy natomiast to, że owe plany wypadły realizować często za cenę niezbyt ko-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Obradują KSR-y

WARSZAWA (PAP). Podczas rozpoczynających się obecnie w zakładach całego kraju sesji KSR-uwa kolektywów robotniczych koncentrować się będzie przede wszystkim na sprzyjowaniu czynników, warunkujących pełną realizację zamierzeń produkcyjnych 1980 r. oraz optymalne wykorzystanie nowoczesnego potencjału wytwórczego.

(Inf. wł.). Problemy zabezpieczenia wykonania zadań planowych były głównym tematem obrad Konferencji Samorządu Robotniczego, która odbyła się w

zł. Aby jednak wykonanie tych zadań uznać można było za realne, konieczne są m.in. zmniejszenie strat czasu pracy i poprawa organizacji stanowisk robotniczych.

Do pełnego wykonania planu konieczne będą także dostawy większej ilości surowców i materiałów. Przyszanę jak na razie limity dają niedobory np. miedzi i ołowiu po ponad 1000

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

1980 — rokiem kultury turystycznej

WARSZAWA (PAP). Liczące blisko 800 tys. członków Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze jest największym w kraju organizatorem imprez turystycznych. Towarzystwo ma tym samym możliwość szerokiego oddziaływania na zachowanie się turystów, zapobiegania przejawom niszczenia środowiska naturalnego, a także skutecznego wpływu na ochronę i zachowanie zabytków architektury i kultury materialnej.

Jedną z form udziału PTTK w ochronie przyrody jest wprowadzenie tzw. systemu informacyjno-alarmowego, który jest stale rozbudowywany. System ten polega na przekazywaniu przez turystów władzom administracyjno-państwowym sygnałów o przejawach niszczenia przyrody i działalności niezgodnej z przepisami o jej ochronie.

Innym przykładem udziału PTTK w ochronie przyrody jest wprowadzenie 5 lat temu tzw. Służby Kultury Szlaku. Obecnie legitymacje SKS posiada ponad 20 tys. osób. To właśnie ich zasługą jest coraz większy porządek i dobre oznakowanie szlaków turystycznych w Polsce, mniej pożarów w lasach.

Mając na uwadze dalszy rozwój opieki nad zabytkami, ochrony przyrody, a zwłaszcza przeciwdziałania przejawom niszczenia i zaśmiecania środowiska naturalnego PTTK ogłosiło rok 1980 — rokiem kultury turystycznej. Podnoszenie poziomu takiej kultury jest jednym z głównych celów towarzystwa w przyszłej jego działalności.

Napłynęły kolejne wpłaty na konto odnowy Krakowa. Spółdzielnia Pracy Stolarskiej „Przyszłość” z Jeleniej Góry — 15 000 zł. Spółdzielnia Pracy Technicznej „Kadra Pracy” z Pruszkowa — 6 000 zł. Studencka Usługowa Spółdzielnia Pracy „Małgosia” z Torunia — 1 086 zł. Dziewarska Spółdzielnia Inwa-

zł. B. N. Piskorscy — Stężyca — 50 zł. Szkoła Podstawowa z Czorsztyna — 100 zł. Andrzej Mroczek z Krakowa — 20 zł. Marek Lasiewicz z Krakowa — 50 zł. Marek Klims z Krakowa — 20 zł. Jerzy Żbik z Krakowa — 20 zł. Urząd Gminny w Zabierzowie — 956 zł. Liceum Ogólnokształcące z Łowicza —

Na adnowę zabytków Krakowa

ludów „Robotnik” z Krakowa — 5 000 zł. Radiotechniczna Spółdzielnia Pracy z Krakowa — 19 000 zł. Krakowskie Zakłady Eksploatacji Kruszywa z Krakowa — 140 175 zł. Róża Lustgarten z Krakowa — 500 zł. Szkoła Podstawowa nr 35 im. Żeromskiego z Krakowa — 1 049 zł. Piotr Jagła z Krakowa — 250 zł. Franciszek Isztek z Krakowa — 150 zł. Eugeniusz Isztek z Krakowa — 250 zł. Szkoła Podstawowa im. Mickiewicza z Białoszewka, woj. Pila — 2 650

2 065 zł. Szkoła Podstawowa z Brzeziny — 1 266 zł. Koło Przewodników PTTK z Małborka — 5 200 zł. Szkoła Podstawowa nr 3 im. Kościuszki z Pułtuska — 500 zł. Urząd Dzielnicowy Biuro Ogólna-Organizacyjne — Kraków-Krowodrza — 3 071 zł. Kombinat Budownictwa Mieszkalniowego z Krakowa — 5 892 zł. Wojewódzka Spółdzielnia-Ogrodnictwo-Pszczelarstwa z Kielce — 800 zł. Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne przy Studium Wychowania Przeszkolnego ze Świdnicy 300 zł. (gn)

Perspektywy motoryzacji

Nowe autobusy dla PKS

WARSZAWA (PAP). Państwowa Komunikacja Samochodowa otrzymała w 1980 r. nowe odmiany autobusów wytwarzanych przez krajowy przemysł motoryzacyjny. Dostawy tych pojazdów pozwolą usprawnić funkcjonowanie komunikacji autobusowej.

Sanocka Fabryka Autobusów uruchamia seryjną produkcję nowej wersji autobusów międzyosłonowych z rodziny „autosanów”. Będzie to pojazd o 10-metrowej długości a więc o metr dłuższy od wytwarzanego dotychczas. Autobus ten, zaprojektowany przez sanońskich inżynierów, będzie miał więcej miejsc siedzących. W stosunku do produkowanego obecnie autobusu — w nowym wozie będzie wprowadzonych blisko 70 rozmaitych innowacji konstrukcyjno-technologicznych. Pierwsze autobusy w nowej wersji mają być wykonane seryjnie pod koniec I kwartału 1980 r. i mniej więcej w tym czasie pojazdy te zostaną skierowane do PKS. SPA planuje dostarczyć w 1980 r. do PKS łącznie ok. 3 tys. autobusów, głównie nowych.

Natomiast Jelczanckie Zakłady Samochodowe w Jelczu koło Wrocławia podjęły już produkcję pierwszej partii informacyjnej (10 szt.) autobusów „berliet PR-110” w wersji międzyosłonowej. Wozu z serii informacyjnej zostaną przekazane PKS, a także kilku innym użytkownikom w celu przeprowadzenia testów eksploatacyjnych.

Planuje się, że seryjna produkcja nowych autobusów będzie uruchomiona w drugiej połowie 1980 r. a do końca 1980 roku PKS otrzyma 100 sztuk tych wozów. Autobus międzyosłonowy posiada 51 miejsc siedzących na wygodnych, odchylanych fotelach, zapewniających pasażerom duży komfort jazdy. Pod podłogą autobusu międzyosłonowego będą przestronne komory przeznaczone na bagaż pasażerów. Wozu te będą wyposażone w udoskonalony system wentylacji i ogrzewania.

Ogółem PKS ma otrzymać z obu fabryk 3,9 tys. autobusów i dodatkowo kilkadziesiąt importu. co powinno odczuwalnie poprawić warunki podróżowania autobusami.



Jak uśmiechać się w Sylwestra — nazywają ją amerykańską Farrah Fawcett. Majors jedna z aniołów Charliego. Fot. AP

Na pożegnanie starego roku

W góry zawitała zima

(Inf. wł.). Zima przestała nareszcie być złośliwą dla turystów i wczasowiczów, którzy teraz postanowili wypocząć w górach województwa nowosądeckiego. W niedzielę rano na Kasprowym Wierchu było 10 stopni mrozu a grubość pokrywy śnieżnej wynosiła 78 cm z czego 13 cm świętego puchu, który spadł od soboty. Minus pięć stopni C. było w Zakopanem a grubość warstwy śnieżnej, ku radości stęsknionych śniegu narciarzy, przekroczyła 12 cm. Prawdziwie zimno było w Nowym Sączu i w górach Beskidu Sądeckiego. Jan Bielaś rozmawiający w górach kierownik schroniska turystycznego na Przehybie, w rozmowie telefonicznej sygnalizował co prawda zaledwie trzycentymetrową pokrywę śnieżną, ale zapewniał, że taka prawdziwa zima, ze śnieżnymi zaspami i siarczystym mrozem nastanie około 10 lub 15 stycznia, i wtedy też ruszą wyciągi zaczepowe zainstalowane w pobliżu schroniska na Przehybie. (ss)

„Do niczego człowiek nie nadaje się mniej niż do szczęścia i niczym prędzej się nie nuży”.

(CLAUDEL)

NOWY ROK

„Lepiej być nieszczęśliwym Sokratesem niż zadowolonym głupcem”.

(J. ST. MILL)

główny urząd statystyczny

tłk. nr 13276

ola „gazety południowej”

prognoza onz na rok 2000

ludność świata ok. 6,254 mln

ludność polski ok. 40 mln

zrędo: wiadomości statystyczne nr 4/1979

ss. 38-39

/wicedyrektor dep.-a. h. bogacki /
warszawa, 21.12.79

WIEK XXI — magiczne pojęcie, magiczna liczba, magiczna — choć przecież tylko umowna — bariera czasu. I nawet jeżeli o jakimś doniosłym osiągnięciu wydarzeniu czy odkryciu mówimy coraz częściej i chętniej, iż jest ono „na miarę XXI wieku”, to jednak stale ów WIEK XXI wydaje nam się czymś odległym, tajemniczym, niemal abstrakcyjnym.

A przecież to już za lat dwadzieścia, 20 lat to sporo, bo można w tym czasie zbudować kilka nowoczesnych miast, ale to również bardzo mało — akurat tyle, by ktoś urodzony w 1980 roku zdążył zaledwie wejść w swa niebity jeszcze dojrzała młodość.

Futuryści, przepowiadacze, specjaliści od wszelkiego rodzaju prognoz — są coraz bardziej wsiermięźliwi i ostrożni. Bo patrząc w wiek XXI, czy nawet tylko w rok 2000 trzeba już pamiętać, że to zbyt blisko, aby popuścić wodze fantazji i o wiele za blisko by w widzeniu przyszłości nie liczyć się realia teraźniejszości.

A więc wiek XXI już za 20 lat. Jakże to nasuwa refleksje, jakie rodzi nadzieje, ale i jakie uwiadamia rozczarowania? Zebrałiśmy na ten temat kilka interesujących opinii. Interesujących m. in. przez to, że nie ma w nich stwierdzeń ostatecznych, nie ma hurraoptymizmu, ani też czarnowidzwa. Jest za to spory ładunek autentycznej troski o naszą spokojną, lepszą przyszłość, jest też rozważna przestroga i przede wszystkim — wiara w człowieka. Bo — jak powie socjolog — przyszłość to nie groźba, lecz szansa...

Prof. dr hab. HIERONIM KUBIAK — socjolog

— Nie boję się przemiana czasu, nie sądzę również aby — jak niektórzy twierdzą — świat nieuchronnie zmierzał ku samounicestwieniu, czy — jak głoszą inni — gorący i niespokojny charakter kultury ludzkiej — czas zmieniał w zdepersonalizowany, zimny, racjonalno-logiczny kształt bezpłodnej cywilizacji.

Twierdząc przeciwnie, iż współczesność ma bardziej ludzką twarz niż przeszłość i to pomimo naruszenia równowagi ekologicznej i od ciężaru zagrożenia przez arsenały broni masowej zagłady. Żyjemy dłużej, wiemy więcej o sobie i własnym środowisku, coraz pełniej dopominamy się o własną podmiotowość w procesie dziejowym, mamy odwagę i marzyć i świat zmieniać, choć nie zawsze jeszcze na miarę tych marzeń. Czy to mało?

Nie boję się przemiana czasu, bowiem wobec przyszłości nie jesteśmy bezradni, bo przyszłość to nie groźba, lecz szansa. Na co? Na wiek bez wojny, na wyzwolenie człowieka spod presji potrzeb homoestatycznych na pełny rozwój osobowości ludzkiej i wielowymiarowy a jednocześnie nieograniczony udział w kulturze, na — używając języka Tadeusza Kołarbińskiego — spolegliwość w stosunkach międzyludzkich.

Gorąco wierzę, że funkcja pokoju będzie ponadto wzrost roli kulturotwórczej małych i średnich narodów, suwerennych, uwolnionych i od ciężaru zbrojeń i od zatrutej międzynarodowej atmosfery.

Gwarancje na taki wiek XXI widzę przede wszystkim w rozwoju ludzi — a nie tylko umiejętności tworzenia rzeczy — w poszerzeniu ich wyobraźni społecznej, wiedzy, wrażliwości moralnej, odpowiedzialności. Ludzi czujących się podmiotem wiedzy, prawa i procesów gospodarczych, gotowych powiedzieć światu: nie o nas bez nas.

Prof. dr hab. WŁADYSŁAW KRÓL — kardiolog

— Popelniam herezję, mówiąc że okolo roku dwutysięcznego zawal mięśnia sercowego przestanie być czynnikiem zagrażającym człowiekowi. Istotną groźbą dla zdrowia i życia stana się skutki oddziaływania na nasz ustroć skażenia środowiska — ołowiem, rtęcią, siarką, fluorem. Skażenie środowiska przybiera formę zastępczą. A jest to czynnik zdradliwy, bo niewidoczny, nieuchwytny. Wobec rozwoju industrializacji wszystkich krajów, stwarza to smutne perspektywy...

Widzę jednak do zawałów. Dlaczego przewidywać zmniejszenie się ilości zachorowań a nawet wyeliminowanie zawałów i innych chorób wieńcowych? Poznałiśmy już bardzo dokładnie mechanizmy, które prowadzą do zawału mięśnia sercowego. Wiemy mianowicie, że głównymi czynnikami zagrożenia miazdząca — a więc zawałem, bo zawał jest modelem miazdząca dla osób od 20 do 80 roku życia — są: nadciśnienie, palenie tytoniu i wysoki poziom we krwi cholesterolu, który przecież zależy od sposobu odżywiania się. Wszystkie te czynniki znajdują się w zasięgu naszego działania i sadzę, że odpowiednio zorganizowane społeczne uświadamianie i wychowanie, prowadzone już od szkół podstawowych, zmniejszy ich wpływ. M. in. w USA i Szwecji stwierdzono wyraźną tendencję do obniżenia się częstotliwości zgonów na zawał, co wiąże się ściśle z ograniczeniem wpływu tych czynników.

Oczywiście istnieją też czynniki poboczne; jest ich sporo, m. in. cukrzyca, brak ruchu, stresu, twarda woda, górski klimat. Cześć z nich również można wyeliminować. Na szczęście dążenie do szczepień sylwetki obejmuje coraz szersze kręgi społeczeństwa. Biegamy, zaczynamy uprawiać sporty, tylko ciągle jeszcze za dużo jemy. Człowiek powinien użyć tyle ile waży mając 18 lat (kobiety) i 21 (mężczyźni). W skali społecznej warto by zmodyfikować sposób odżywiania się — mniej jest węglowodanów, więcej białka. Ponadto dysponujemy środkami farmakologicznymi, które pomagają w walce z miazdząca, przeciwdziałają zakrzepom i wytwarzaniu się blaszek miazdzących w naczyniach tętniczych.

A więc do roku 2000 — by można go z punktu widzenia zdrowia człowieka przyjąć z zadowoleniem — czeka nas rozwiązanie dwóch poważnych problemów: obezwładnienie czynników powodujących miazdząca oraz wprowadzenie skutecznej walki przeciw skażeniu środowiska. Ten drugi problem jest znacznie trudniejszy...

Dr WALDEMAR BOGACKI — chirurg-onkolog

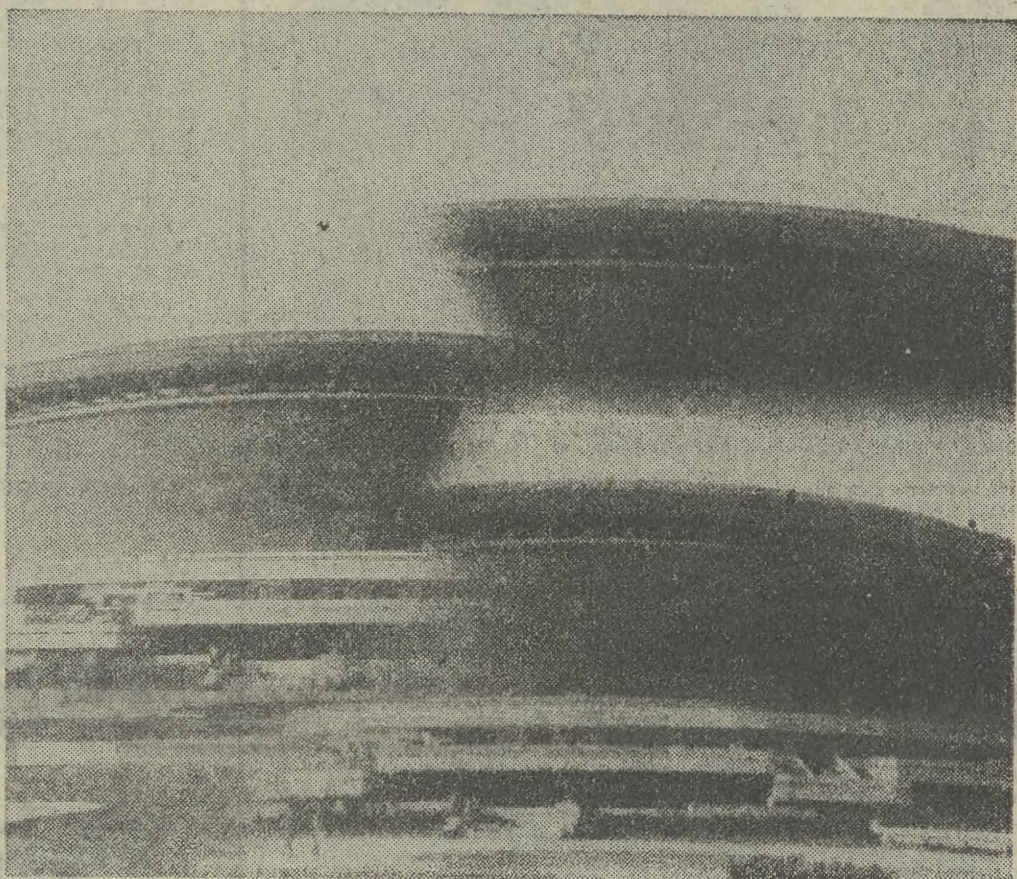
— Jestem realista. Myślę, więc że wiek XXI zastanie nas bez żadnego uniwersalnego panaceum na choroby nowotworowe, i że wtedy ilość zachorowań będzie większa. Ta choroba dotyka przede wszystkim ludzi starych, a tych dzięki osiągnięciom w medycynie będzie w społeczeństwie coraz więcej. Ale zarazem jestem optymistą. Wierzę w to, że w najbliższych latach uda się nam poznać onkologię tego — jak to nazwać precyzyjnie? — strachu, przesady, złej sławy. I schorzenia nowotworowe będą traktowane po prostu jak każde inne. Bo trzeba wiedzieć że dotąd jest to choroba wstydliwa. Kiedyś podobna zła sława miała gruźlica, a dziś ludzie mówią nie ścisząc głosu; leczyłem się na gruźlicę. Wiek może nie długo...

Ten balast wstydu, przetrwał swoją tragiczną wyprawę. Chorzy długo czekają, zwlekają aby tylko jak najpóźniej poznać diagnozę lekarza. A w tym schorzeniu

rewolucja techniczna i cywilizacja maszyn; rozwój demograficzny oraz migracyjny, pociągający za sobą konieczność gwałtownej urbanizacji, intensyfikacji rolnictwa drogą chemizacji, rozbudowy infrastruktury komunikacyjnej i budownictwa przemysłowego — wszystko to w swoich skutkach prowadzi do zachwiania równowagi biologicznej w przyrodzie, uniemożliwia jej samoczynną regenerację, czyni nieodwracalne zmiany w zasobach wód, powietrza, w szacie roślinnej, w faunie, w krajobrazie. Ową degradacyjny proces w przyrodzie — mimo coraz większych wysiłków nad ratowaniem środowiska człowieka, czyli ziemi — będzie postępował niewątpliwie do końca tego tysiąclecia. Na pewno nie wpłynie to korzystnie na światowy bank czystego powietrza — owych płuc ziemi — ani na zasoby czystych wód słodkich, a wreszcie na życie wielu gatunków zwierząt co mnie, jako zoologa i ochroniarza fauny, szczególnie trapi.

Okolo tysiąc gatunków zwierząt jest zagrożonych w swym gatunkowym trwaniu. W ostatnich dwustu latach z winy człowieka wyginęło 150 gatunków ptaków, ssaków gadów, ołazów. Drugie tyle tkwi na granicy wyginienia. Wnioskując zwiata zwierzęcego i roślinnego nie ustaje. Czy zmiany na lepsze przyniesie wiek XXI? Mielmy nadzieję. Światowy ruch ochrony przyrody ożywił się potęgniej. Nauka jest w stanie uratować ginące zwierzęta, ale nie od niej tylko zależy ich dalsze bytowanie, lecz od zachowania dla nich naturalnych enklaw. Stąd

WIEK XXI



już za 20 lat!

rzędu właśnie czas jest najgroźniejszym wrogiem, im późniejsze leczenie — tym mniejsze szanse. Mężczyźni chorują najczęściej na nowotwory płuc i żołądka. U około połowy zgłaszających się do nas kobiet choroba zastawiona jest szyjka macicy lub sutek. Obecnie włączalność chorych leczonych w Instytucie Onkologii d/s Organizacji Walki z Rakiem sięga 56 proc., ale...

Rak szyjki macicy jest uleczalny w stu procentach, jeśli leczenie podejmujemy wcześniej, w okresie tzw. przedinwazyjnym. Gdyby każda kobieta dwa razy do roku znalazła czas na wizytę u ginekologa, wzrostby poważnie procent wyleczonych.

Realizowany obecnie Program Rządowy Nr 5 daje onkologom dobrą bazę wyjściową do jeszcze skuteczniejszego rozwiązywania problemów, które nadal stawia przed lekarzem ta choroba. Myślę, że ten program będzie kontynuowany w następnych latach.

Problemy społeczne... Do końca naszego wieku rozwiążemy te najbardziej palące, których nie da się odłożyć na później. Ale na pewno pojawią się nowe, może nawet poważniejsze. Nie spodziewam się sialankowego obrazu początku wieku XXI, ale może dzięki lepszej niż obecnie organizacji pracy i życia społecznego będziemy mieli wszyscy więcej czasu na swoje pasje indywidualne, np. na uprawianie sportu, słuchanie dobrej muzyki, a ludzie rzadziej niż obecnie będą mówili: „przepraszam, ale nie mam czasu”.

W końcu myślę, że ostatnie lata tego wieku przyniosą wzrost prestiżu społecznego zawodów reprezentowanych przez służbę zdrowia. I będzie kilka przyczyn po temu. My wszyscy — lekarze, pielęgniarzy, laborantów medycznych, salowe — potrafimy lepiej służyć choremu człowiekowi. Wierzę, że stanie się tak, ponieważ przyjdzie nam pracować w lepszych niż obecnie warunkach.

Prof. dr hab. BRONISŁAW FERENS — przyrodnik

— Za 20 lat kończy się wiek, w którym działalność człowieka poczyniła w przyrodzie większe spustoszenia, aniżeli całe minione tysiąclecie. Wojny światowe, gwałtowny rozwój przemysłu ergo rakunkowa — na jego potrzeby — eksploatacja wewnętrznych i zewnętrznych zasobów ziemi, militarystyka świata, nieumiarowana fascynacja tzw.

tworzenie na świecie parków narodowych, rezerwatów ścisłych. Nie wystarczą przepisy ochronne. Zwierzę musi mieć swój dom i swoją kuchnię. Właśnie o to — o enklawy, o rezerwy naturalnego środowiska — toczy się obecnie największy bój na świecie i w Polsce. Polska dla świata uratowała żubr, uratowała ginące w kraju zwierzęta, jak kruk, labędzie, bobry, losie, czarne bociany. Ale jednocześnie za mało mamy biocenozy, w których uratowane gatunki mogłyby spokojnie egzystować. Trzeba by koniecznie powiększać. A jednocześnie ograniczyć chemizację ziemi środkami trującymi — trującymi wszystko, co żywe, także człowieka.

Nie naukowcom stawiać horoskopy. Mam jednak nadzieję, iż wiek XXI przyniesie lepszą współpracę humanistów z technokratami. Przy takiej jednolitej będzie realizować idea ratowania przyrody. Ratowania jej dla człowieka i każdego stworzenia, zdanego na jego łaskę.

Prof. dr hab. ALEKSANDER KRAWCZUK — historyk

— W istocie umysłowość ludzka jest bardzo nędzna. Przypatrzmyśmy ogromną wagę do przełomu wieku, magicznego znaczenia nabierają zwykłe liścizy. A przecież to tylko rzecz umowy. Początek naszej ery mogliśmy równie dobrze liczyć od pierwszego Olimpiady, która odbyła się w 776 roku p.n.e. i w tej chwili mieliśmyby już drugą połowę trzeciego tysiąclecia. Liczymy od momentu urodzenia Chrystusa, ale i tu tkwi błąd bo potężniejsze już wiadomości, że Chrystus urodził się 4 lata wcześniej niż kiedyś sądzono.

Tak czy owak, minęło pierwsze tysiąclecie, miały drugie. Na przełomie dwóch tysiącleci ludzkość oświeciła katalizem, końca świata nawet. Nic się nie stało. Teraz, miejmy nadzieję, także nie wielkiego się nie wydarzy...

20 wieków to okres czasu, nad którym warto się zastanowić. Zdumiewa mnie jedno, jak bardzo trudne okazały się dzieła kultury. W ciągu tych 20 wieków upadło Cesarstwo Rzymskie, kilka ustrojów społecznych — ale wielkie dzieła literatury i sztuki tworzy i trwają. Uporczywie trwa również ludzkie dążenie do wznoszenia się coraz wyżej po szczeblach wiedzy, wydzieranie przyrody jej tajemnic.

20 wieków temu panował cesarz August. Powstało Cesarstwo Rzymskie jako nowa forma ustroju społecznego (więc rzeczywistość na przełomie wieków wydarzyło się coś wielkiego). Po tym okresie augustiańskim zostają dzieła Horacego Wergiliusza. Prawie równo dwa tysiące lat temu Owidiusz napisał swoje „Ars amandi”, a dziś mamy „Sztukę kochania” pani Wisłockiej. Tak jak my dzisiaj, tak kochali również starożytni Rzymianie. Jaki to wspaniały pomysł przerzucić poprzez 20 wieków... Kłóć jeszcze został? Lituś, wielki historyk rzymski, do dziś wzbudza narracji: Witruwiusz — wielki architekt, autor pierwszego podręcznika architektury, na którym uczono się tej sztuki do XVIII wieku. Pozostali budowali — Panteon, wodociągi. I tak sobie myślę, zbliża się rok dwutysięczny, potem — mam nadzieję — trzytysięczny i dalej. Co po nas zostanie? Po naszym wieku? Czy za dwa tysiące lat, w takiej rozmowie jak dzisiaj nasza, ktoś będzie mówił o naszym wieku dwudziestym... Mam obawy czy wzmieni chociaż jedną budowlę architektoniczną, jedną pozycję literacką. A technika? Ta jest najmniej trwała. To co było nowym w medycynie czy fizyce 20 lat temu, dziś jest już starość. Byłoby wspaniale gdybyśmy pozostawili po sobie jakieś nomyślnie teoretyczne, tak jak zrobili to starożytni. Starożytni stworzyli matematykę. Nie mieli z niej żadnych praktycznych korzyści, a po 20 wiekach to teoretyczna matematyka dała nam praktyczną technikę. Czy my w XX wieku tworzymy coś takiego, co za dwa tysiące lat okaże się ludziom przydatne?

Prof. WITOLD CĘCKIEWICZ — architekt

— Jako przewodniczący Komisji Naukowej „Kra-ków 2000”, chciałem poświęcić swe refleksje przede wszystkim temu miastu. Wierzę, że znajduje się śródki, aby w Krakowie było się lepiej i wygodniej. Niestety nie jest, czy Kraków przekroczył milion mieszkańców, ale czy będzie centrum kultury i nauki, bo te funkcje kształtowały jego charakter przez wieki. Wierzę, że potrafimy tak urządzić to miasto, aby można było w nim mieszkać, pracować i wypoczywać.

W osiedlach, powstałych wyłącznie jako skupiska domów, będzie trzeba wreszcie zrealizować zaplanowaną sieć usług, szkół, przedszkoli, placówek kultury i służby zdrowia. Należy przebudować system komunikacji aby pomóc w przemieszczaniu się samochodów i osłać sieć połączeń wygodnych dla środków komunikacji masowej. W przyszłości znaczny procent mieszkańców Krakowa wybierze teren a dohorych warunkach klimatycznych i budownictwa pośrednie między jasnem a wielorodzinnym. Wierzę jednak, że zabijko-wo centrum nie opustoszeje, a przez umiejętną jego ednową zatrzymamy w nim nie tylko piękno, ale i życie.

Architektura musi się uwolnić od przytłaczającej nas obecnie monotonii, która wynika ze stosowania w budownictwie uproszczonych a kosztownych technologii. Korzystając z osiągnięć technicznych innych krajów, będziemy kształtować architekturę zgodnie z najlepszymi tradycjami i cechami regionalnymi. Działania w sferze architektury i urbanistyki są niezwykle trwałe. Ich skutki zostaną na dziesiątki, a nawet setki lat. Musimy mieć tę świadomość. Dlatego generalną zasadą w urbanistyce nie jest planowanie na rok 2000, lecz na lepszą przyszłość, która może nastąpić za 10, 20, może za 30 lat.

Gdy myślałem o tych wszystkich samierzeniach jeszcze dziesięć lat temu, wydawały mi się bardziej realne. 20 lat nie jest zbyt długim okresem, ale świadom jestem możliwości, jakimi dysponuje nauka i technika. Chodzi tylko o skierowanie środków na realizację. Przecież dzięki żelaznej konsekwencji (i niemałym nakładom) w stosowaniu programu ochrony środowiska, strasznie brudna Tamiza została oczyszczona w ciągu dziesięciu lat, podobnie jak powietrze w Londynie i Północnej. Dla poprawy warunków życia zawsze istotne będą winiaki, jakie wygłaniamy się ze zdołaczy różnych dziedzin nauki. Mam przekonanie, że tę wiedzę wykorzystujemy wciąż w sposób niepełny.

Rok 2000 będzie tylko pewną datą w toku naszych działań, a w trzecim tysiącleciu wejdziemy ze wszystkimi obywatelami lat wcześniejszych. Ludzie wiążą z przełomowymi datami jakieś nadzieje, liczą na wielkie przemiany, a to jest tylko jedna chwila, jeden z wielu dni, które mijają. Im bliższy będzie rok 2000, tym bardziej uświadamiamy sobie będziemy, że nie jest to żaden próg, za którym zaczyna się jakieś inne, nowe, wspaniałe stulecie.

Prof. dr hab. TADEUSZ WOITASZEK — naukowiec-rolnik

— Jeszcze przez wiele lat, a na pewno na początku XXI stulecia, żyć nie będzie rolnictwo. Czy będzie w stanie to uczynić przy stałym wzroście ludności na świecie? Sadzę, że tak. Trzeba tylko wykorzystywać wszystkie osiągnięcia nauki w tym zakresie.

Dla produkcji żywności niezwykle ważną jest jednak ekologiczna i techniczna równowaga. Zatruta woda, zatrute powietrze ograniczają produkcję roślinną i zwierzęcą, a także zakłócają podstawowe procesy fizjologiczne. Zatrważające jest nie-liczenie się z tym. Dlatego rolnicy tak uważnie obserwują co się dzieje ze środowiskiem naturalnym człowieka.

Przemiany organizacyjne w rolnictwie nie mogą być gwałtowne: trzeba się liczyć z warunkami ekonomicznymi, demograficznymi, społecznymi i kulturowymi. Nie można się kierować wyłącznie agrotechnicznymi względami. Struktura rolnictwa powinna się zmieniać w sposób naturalny, trzeba to przewidzieć i się do tego przygotować. Nie ujednolicić jej do końca tego wieku i nie sadzić, aby istniała taka potrzeba. Chodzi zatem o racjonalizację struktury polskiego rolnictwa i uznanie zawodu rolnika przynajmniej za równorzędną z innymi. Stale podnoszenie wiedzy trzeba wykorzystywać do wzrostu produkcji roślinnej, która stanowi podstawę wzrostu hodowli. Potrafimy wyeliminować import pasz i żołą, a nawet eksportować nadwyżki. Mówię o takich możliwościach, mając na uwadze wyniki niektórych naszych dobrze zorganizowanych przedsiębiorstw rolnych. Popatrzmy zresztą na Danię, Holandię, Francję...

Stwierdzono już, że najbardziej racjonalnym kierunkiem jest uprzemysławianie na bazie bardzo dobrze rozwiniętego rolnictwa oraz wysokiej wiedzy społecznej i technicznej tych, którzy żywność wytwarzają. Pod tym względem jesteśmy opóźnieni.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 5)

Na nowe łasko winszujemy:

Zebym wam się udało:
żytka — jak korytko,
szpenica — jak rekawica,
bób — jak 266,
owies — jak skoptec,
len — jak pień...

Na Podhalu, wszystkich tych, co w wigilię lub w Nowy Rok przychodzi z życzeniami szczęścia i powinszowaniami nazywa się podhalnikami. A przychodzi kawalerowie starając się o córke, krewniaczy i sąsiadzi. OSKAR KOLBERG pisze, że do życzeń noworocznych przykładano w polskiej tradycji wielką wagę: „Wiedzieli co komu życzyć należało, umysł i grzeźność siliły się na dociepc, koncepcja (...) Dzisiaj gwałtem winszowania swoższednia! — ubolewa Kolber — ograniczając się na krótkim uścisnieniu ręki”. Dawniej za to „ojcowie mieli na to sposób, by nowotarżane co rok życzenia nie były nudnymi: oto dbali o nic, jak o ważną żywoła sprawę, więc płynęły one u serca i z sąsiedzkiego efektu”.



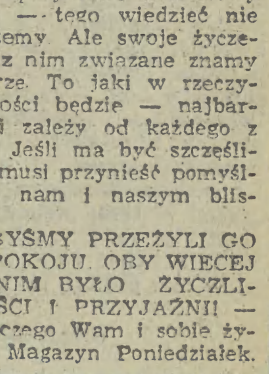
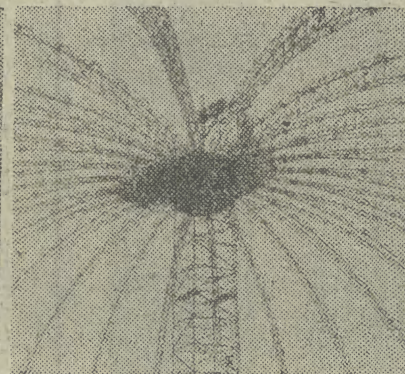
Chodzący „za nowym latkiem” winszując i zbierając podarki dzieci wiejskie. Ale i dorosli nie zaniedbywali tego sąsiedzkiego i rodzinnego obowiązku. W niektórych regionach Polski mówiono się, że chodzą „draby” po „nowym lecie”. Dla dodania całej sprawie wesołości wybierano się cudacznie w skóry zwierząt (dawniej noworoczni kolekcjonerzy prowadzili po prostu żywego młodego wilczka, niedźwiadka lub tura).

W ostatni wieczór roku starego dziesięć — a podobnie jak w Andrzejkę — czynili wróżby dobrego zamarznięcia: „Było mniemanie, że dziecina, która w wigilię Nowego Roku doczeka północy, i wewnątrz się przy światłach dwóch świec jarzących w zwierciadło, ani razu nie obejrzy się na siebie, ujrzy w zwierciadle poza sobą zostać przyszłego małżonka”.



Wieczór sylwestrowy miał też kiedyś tradycyjną swą potrawę — **lemieszkę** z maki pszennej, żytnej lub hreczanej. Jej spożywaniu towarzyszyły pewne rytualne gesty: uderzanie się łokciami po policzkach, resztkami lemieszki mazać no z zewnątrz okna. Te magiczne znaki miały zapewnić dostatek chleba w każdym domu. Podobne intencje kryły obchowywanie się pierwszego stycznia owsem przy powitaniu.

My witamy. Nowy Rok na balach, balikach i prywatkach lub w towarzystwie telewizji. Z wybiciem dwunastu uderzeń zegara spełniamy toasty i dość dawkowo życzymy sobie wszystkiego dobrego. Co przyniesie nam Nowy Rok — tego wiedzieć nie możemy. Ale swoje życzenia z nim związane znamy dobrze. To jaki w rzeczywistości będzie — najbardziej zależy od każdego z nas. Jeśli ma być szczęśliwy musi przynieść pomyślność nam i naszym bliskim. OBYŚMY PRZYBYLI GO W POKOJU. OBY WIECEJ W NIM BYŁO ŻYCZLIWOSCI I PRZYJAŹNI! — oto czego Wam i sobie życzy Magazyn Poniedziałek.



JACEK PAŁAMARZ

Spod Wawelu pod palmy Akaby

Jest to dalszy ciąg relacji naszego reporter z pełnej przygód i atrakcji wyprawy autokarem, jaką latem 1979 r. zorganizowała Politechnika Krakowska. Trasa, licząca ponad 10 tys. km, wiedzie przez 8 krajów, a celem podróży jest jordański port Akaba nad Morzem Czerwonym...

W piętnastym dniu wyprawy, po przekroczeniu pięciu granic, jesteśmy już w Syrii. Aleppo, drugie po Damasku miasto tego kraju, wita nas zgiełkiem ulic, bogactwem orientalnej architektury, powodzią słońca. Upalny miesiąc od krwawej masakry dokonanej przez terrorystów z „Bractwa Muzułmańskiego” na kadetach tutejszej szkoły wojskowej — o tej tragedii nadal przypominają uzbrojone patrole wojskowe i rozlokowane w różnych punktach miasta czołgi. Ale ulice Aleppo żyją już normalnym rytmem. Kipi gwarem bazar, zachwalający swój towar, sprzedawcy usiłują przekrzyknąć świdrującą melodię samochodowych klaksonów.

Przed pysznymi się wspaniałym minaretem al-Dżami, czyli Wielkim Meczetem z początków VIII wieku — tłumy wiernych. Jest właśnie czas modłów, niestety turystów nie wypuszczają. Za to do woli możemy się wyciszyć wśród murów górującej nad miastem, potężnej cytadeli, w wielu miejscach w sposób widoczny wzmocnionej przez współczesnych kamieniarzy, ale w swych zakamarkach kryjącej ślady przeszłości hetyckiej, aramejskiej i greckiej.

„NARZECZONA PUSTYNI”

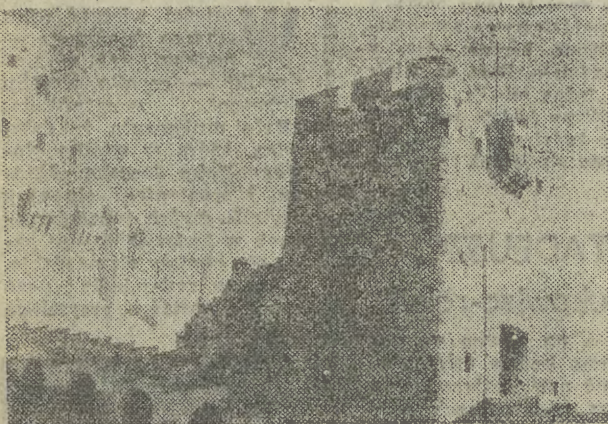
Wyspaliśmy się pod mizerną osłoną rzadkiego lasu, przy samej drodze gdzieś między Aleppo a Hama, nieczuli na nocny warok ciężarówek, oboje na przestrogach małych Syryjczyków, że można tu nadępnąć na skorpionę, i że obok pod murem mają siedlisko jadowite węże. A już od trzech z okładem godzin — jedziemy przez pustynię. Popielato-brunatna palenina wydaje się nie mieć końca. Mijamy 3-4 stada dromaderów skubiących kolczaste krzakczki, jakas osadę porzuconą przez Beduinów, potem zupełnie niespodziewanie przelatuje nad nami odrzutowiec.

Znowu pół godziny burej pustki i raptem... cudowny widok. To słynna Palmyra — „Naręczona pustyni”. W samym środku piaszczystego pustkowia strzelają w błękitne niebo kolumny starożytnego miasta, niedgdy ośrodka wymiany handlowej między Rzymem a Wschodem, stolicy państwa pięknej i dumnej monarchii, Zenobii. Monumentalna świątynia boga słońca Baala, agora, Wielka Kolumnada, Łuk Triumfalny, wieżowe grobowce, Brama Pretoriańska, amfiteatr — wszystko to wykonane z glazów piaszczowa o różowym odcieniu, łączy najlepsze wzory architektury rzymskiej, greckiej i perskiej, a dziś przed światem odświeżona kunszt mistrzów starożytności.

Porażeni pół na pół wrażeniami i słońcem wlecemy się w stronę palmowej oazy, gdzie, w cieniach osiedla Tadmora schowaliśmy nasz autokar. Obok nas gromadzą się dzieciaki, dopominające się o baksyzy. Niespodziewanie zjawia się kierownik palmyrskiej „taxi”, drukowanej arabskiej cyfrowej przez osłokę: — Dżendobry! Bolanda! Nima buti?... Nima kriema ni-weja?

Wybuchamy śmiechem, a z nami śmieje się Arab, dumny, że tak łatwo odkrył w nas rodaków profesora Michałowskiego, powszechnie tu znanego z wieloletnich badań archeologicznych.

Arab już robi obok siebie miejsce, proponując czterem osobom jazdę do Tadmora po 5 funtów od łebka. Chętnych nie widać, więc cena błyskawicznie spada, ale kiedy i ja



Fronton ciaładell w Aleppo.

dnofuntowa oferta nie robi na nich wrażenia, podcięty batem osłówek rusza klusem i już z oddali słyszmy: — Buti nima! Fun! nima! Dupa, cholera, dupa...

W NAJSTARSZEJ ZE STOLIC ŚWIATA

Długa, nocna jazda przez pustynię. Za oknem żądno kształtu, zupełnie jak na pełnym morzu — wypatrzymy więc światła Damasku, niczym morskiej latarni. Nagle stop — kontrola paszportów! Granica? Rany boskie, gdzie jesteśmy?!

— Jadąc z Palmyry krótszą, nową drogą, a drogi tej jeszcze na mapie nie ma, ani chęć zbłądziłmy — konkluduje spokojnie Andrzej. — Proszę państwa, przed nami Iraki.

TYL autobus natychmiast opowiada się za nadprogramowym „zaliczeniem” Bagdadu, PRZOD przyznaje, acz z konsternacją przypomina, że przecież trzeba mieć traktat wizy. SRODEK spokojnie czeka co z tego wyniknie.

Okazuje się, że jesteśmy jednak pod Damaskiem, zaś w miejscu, gdzie nas zatrzymano, spotykają się dwie pustynne drogi: ta nowa z Palmyry i druga z Bagdadu, a że na pustyni, i do tego w nocy, nigdy nie wiadomo — przeto tam, gdzie pustynia się kończy, sprawdzenie paszportów nie zaskoczy.

Nie zaskoczył nam również dobry, mocny sen na damascenskim campingu — w końcu jesteśmy w mieście o 3500-letniej historii, w najstarszej ze współczesnych stolic świata.

Od rana szal zwiedzania. Stare mury sprzed wielu stuleci, labirynty arabskich zaułków, nowe, krzyżące architektonicznym rozmachem dziednie i stare miasto niczym jeden wielki jarmark cudów. No i — jak twierdzą Syryjczycy — siedem tysięcy miejsc świętych. Można się tu śmiać z tego, ale do tego najświętszego trafić każdy musi. Przephychamy się więc, zbierając kuksańce, do meczetu Omajjadów. To chłuba Damasku, jedno z trzech najważniejszych sanktuariów islamu. Zawracają nas od głównej bramy — tu wejście „tylko dla tych, co do raju”. Pokornie i za półtora funta wpychamy się wejściem bocznym, rozstając się z butami, a zyskując długie narzuty do zastąpienia ramion, dekoltyw, ud — i żeńskich, i męskich. Na wielkim dziedzińcu otoczonym monumentalnymi portykami — setki pielgrzymów. Przybijają całymi rodzinami i tu razem modlą się, śpią, jedzą, odpoczywają. Przed wejściem do haramu (sali modlitwy) obmywają stopy — tam podłogę zaściela 900 dywanów. Wspaniałe mo-

(CIAŁ DALSZY NA STR. 5)

Najgorzej odczuwają dzieci — mówi przedstawiciel Instytutu Pediatry — brak pluszowych misiów. Zwalazca te dzieci, które czeka operacja serca. Boją się. I żeby ten lek zagościć przygotowuje się je właśnie z pomocą misiów. — O widzisz — mówi się takiemu malcowi — to nie straszno: tu się nanie, o tak, a potem zeszyje... A kiedy dziecko budzi się z narkozy to miś zabandażowany leży obok. Razem jakoś łatwiej zdrowieć. Niestety, nie mamy pieniędzy na te misie — zakończył pan ordynator.

Było to niedawno, w Międzynarodowym Roku Dziecka. Zwierzenia o misiach słuchali panie z krakowskiej Ligi Kobiet w scenarii Urzędu Miasta i w majestacie oficjalnej nara- dy, którą zresztą same spowodowały. Był też obecny ktoś z przemysłu terenowego. No i nie wiem, jak teraz jest w kwestii misiów, wiem tylko, że członkinie LK zebrały mnóstwo zabawek dla szpitali dziecięcych i domów dziecka, a także uszyły sporo ubranek, szalików, czapek.

Podobna fala ofiarności przeszła przez spółdzielnię GS, przez niektóre koła studenckie i tak dalej, i dalej. Wylizac nie sposób bo musieliśmy przepisać w komplecie wszystkie rubryki z pierwszej strony „Echa” o fundowaniu książeczek mieszkaniowych sierotom, o darach i pięknych gestach, które w Międzynarodowym Roku Dziecka szczególnie obrodziły.

Czy jednak tylko o piękne gesty chodzi? Przeglądając 365 dni w popularnym, a nieważnym już kalendarzu 1979 ozdobi- onym portretami dzieł malowanych przez Stanisława Wyspiańskiego (też miły gest wydawców) usiłujemy zebrać pion Międzynarodowego Roku Dziecka. Oto w którymś z tych minionych dni — może pod „Macierzyństwem”? — pani ADELA KUBALA z Zamościa założyła Koło Matek, w Bilgoraju zaczęła powstawać pierwsza w Polsce wioska dla osieroco- nych dzieci. Potem Wydział Oświaty krakowskiego Podgór- ra otworzył Dom Rodzinny i parę kolejnych przedszkoli wy- krojonych ze szczupłej kiesy. „Przekrój” też nie został w tyle z inicjatywą: wydrukował „Pomaranczowego kota” — po-

wieść tworzoną dla dzieci z okazji ich roku przez kilku po- kolei pisarzy z szerokiego świata: każdy łorzał po roz- dziele przy czym wszystkie niesamowite przygody zrodzone z międzynarodowej fantazji zebrał w zakończeniu, tak by się kupy trzymały, nasz niezawodny LUDWIK JERZY KERN. W jednym z 365 minionych dni, a był właśnie 3 czerwca znaczony w kalendarzu „Portretem dzieckiem” otworzone wspa- niale urządzone czesie kliniczne Szpitala — Pomnika. Innym znów akcentem o międzynarodowym wydźwięku było rozda- nie polskiego Orderu Umiechu przyjaciółom dzieci w kra- jach członkowskich ONZ.

Jedno jest pewne: Rok, który tegnamy, pełny był krótko- trwałych, dających dziecku jednorazową radość, imprez, zawodów, akcji, pomysłów. Rok ten jednak dopuścił równie do głosu tych, którzy głoszą potrzebę uważnego spojrze- nia na życie codzienne. No bo na przykład czy okoliczności- a akademii „ku czci” wystarzą dzieciom z rodzin wielo- dziełnych? Są takie rodziny w całej Polsce, ale akurat traf- fil mi do rąk raport Wojewódzkiej Poradni Wychowawczo- -Zawodowej z Koszalina. W raporcie stało: „W rodzinach wielodzietnych od sześciorga dzieci uszyły (było 1989) dzie- ci i młodzieży do dziesiętnastego roku życia. Warunki mie- skaniowe wszystkich tych rodzin — bardzo trudne: pięć, sześć osób na jedną izbę, a czasami więcej. Budownictwo przeważnie stare, wymagające gruntownego remontu. Wa- runki materialne — niezmiernie trudne. Przeciwna na oso- bę 300—450 złotych. Dzieci mają trudności to nauce, są głod-

ne, zaniedbane, bardzo ubogo ubrane, śpią przeważnie w tym, w czym chodzą...”

Wiadomo: Koszalin zasłynął z troki i potrzebujących i tej troce zawiązanym ów raport. W Koszalinie sprawdzono m. in. co się dzieje w rodzinach żyjących z renty inwalidzkiej, lub mających kalekie dzieci na utrzymaniu. Może właśnie stamtąd, z Koszalińskiego podniosło się w kraju wołanie o dodatki dla tych rodzin.

W kalendarzu była może „Helenka i kwiaty” a może „Dziewczynka z fiołkami”, kiedy zbilansowano ilość polskich dzieci w wieku 3 do 5 lat, które nie dostały się do przed- szkoli: okazało się, że ilość ta przekracza 100 tysięcy. Opinia publiczna przypominała więc (już nie po raz pierwszy zresz- tą) o konieczności tworzenia tzw. miniprzedzkoli w osiedlach, w mało używanych pokojach różnych instytucji, w mieszka- niach prywatnych... „Trybuna Ludu” napisała nawet, że trze- ba znaleźć dla tej sprawy formy kontroli społecznej i że ro- dzice powinni mieć większy wpływ na terminowość oddawa- nia do użytku nowych przedszkoli.

A co się dzieło w szkołach? Nauczyciele weszli wraz ze swymi uczniami w drugi rok reformy oświaty. Bilan- sując dobre oraz niepokojące spostrzeżenia o działaniu tej zmiany na dzieci pani MARIA ŁOPATKOWA, dyrektor Państwowych Zespołów Ognisk Wychowawczych zauważyła: „Siedmio i ośmiolaki zniknęły z podwórka! Nie mają czasu bawić się, biegać! Są przeciążone, po paru miesiącach mają

Dać z siebie wszystko...i jeszcze trochę!

Nowa gwiazda polskiego kolarstwa, 24-letni JAN JANKIEWICZ, ściga się na rowerze od dziesię- cciu lat, ale dopiero w tym roku zdobył stawę. Najpierw dał znać o sobie podczas Wyścigu Pokoju, jechał dobrze, odwrotnie, był najlepszy z naszej drużyny. W nicałe trzy miesiące później zdobył dwa srebrne medale w szosowych mistrzostwach świata: w wyścigu indywidualnym i jeździe dru- żynowej. Gdzie tkwi tajemnica sukcesów Jankiewi- cza? Na wstępie naszej rozmowy dwukrotnie wice- mistrz świata przypomina mi słowa Stanisława Szosty: „dać z siebie wszystko i jeszcze trochę...”

Trafili do sportu raczej przypadkowo. Mieszkał wówczas w Nowej Rudzie i wspólnie z kolegą szkolnym wyruszyli w wolnych chwilach na rowe- rowe wycieczki. Ot tak, dla relaksu. Lubili jeździć. Po pewnym czasie kolega kupił sobie rower wyści- gowy i zapisał się do klubu. Czternastoletniemu Jankowi przyniósł się po pół roku samotne turysty- ckie wyprawy rowerowe i pomyślał, że mógłby się także ścigać. Podstawowym warunkiem wstąpienia do klubu było jednak posiadanie własnego „wyści- gowego sprzętu”. W końcu ojciec dał się namówić i kupił „huragana”. Zaczął więc Jankiewicz trenować w pobliskim Górniku Słupcu, ale początkowo nie myślał o wielkiej karierze sportowej. To była dla niego po prostu rozrywka i nie więcej. Rodzice zaczęli mu nawet sport odradzać bo zbyt często wracał do domu zmęczony, z odartą skórą na no- gach i rękach. W terenie walki na szosie zapo- mniał bowiem Janek, że techniki jazdy nie opano- wał jeszcze doskonale, zapominał także o tym jego koleśki i stąd mnożyły się krakasy. Często szorowa- nie po asfalcie nie należało do przyjemnych, jed- nakże nie zrażało to Jankiewicza do kolarstwa. Tym bardziej, że wkrótce przyszły pierwsze suke- sy: zdobył mistrzostwa okręgu młodzików w jeź- dzie parali i wygrał wyścig indywidualnego w zawodach szosowych juniorów.

W 1972 r. został torowcem. Z przypadku. Odby- wał się wówczas w Radomiu torowe mistr- zostwa Polski CRZZ i w okręgu, w którym startował, postanowiono go włączyć do representa- cji. Bez przygotowania specjalistycznego, ku zasko- czeniu wszystkich i chyba własnym, wygrał wyścig na 4 km. Rok później zdobył podczas Ogólnopoi- skiej Sparyakiady Młodzieży dwa złote medale również na torze, jeden w wyścigu indywidualnym na 3 km, drugi w drużynie na tym samym dystan- sie. Nie zrezygnował jednak ze startów na szosie, lecz tu nie odnosił tak błyskotliwych sukcesów. Nie wiec dziwnego, że powołano go właśnie do kadry narodowej torowców i dość szybko wystano na pierwszy poważny sprawdzian — na mistrzostwa świata. Debiut Jankiewicza w montrealskich mistr- zostwach, a miał wtedy dopiero 19 lat, nie wy- padł imponująco, ale nie był też zły (9 miejsce na wyścigu na 4 km). Rok później wciśnął się już do światowej czołówki, wywalczył bardzo dobre, czwarte miejsce, będąc blisko medalu. Ale na Olim- piadzie w Montrealu nieco rozczarował, będąc do- piero dziesiątym na swym koronnym dystansie. W następnych latach zajął dwukrotnie szóste miejsca na mistrzostwach świata, ale mogąc ale jednak zbliżyć do strefy medalowej. Do startów na torze przygotowywał się przez wyścigi szosowe, gdzie zresztą zaczął spisywać się zupełnie dobrze. Uważał, że o powodzeniu może startować w oby- dwa konkurencjach, że jedno drugiemu nie przeszkadza. Wreż przeciwnie. Na torze wyrabia się szybkość, umiejętność finiszu, co przecież w wyści- gach szosowych ma wielkie znaczenie. Z kolei imprezy wieloletapowe pozwalają na zdobycie od-



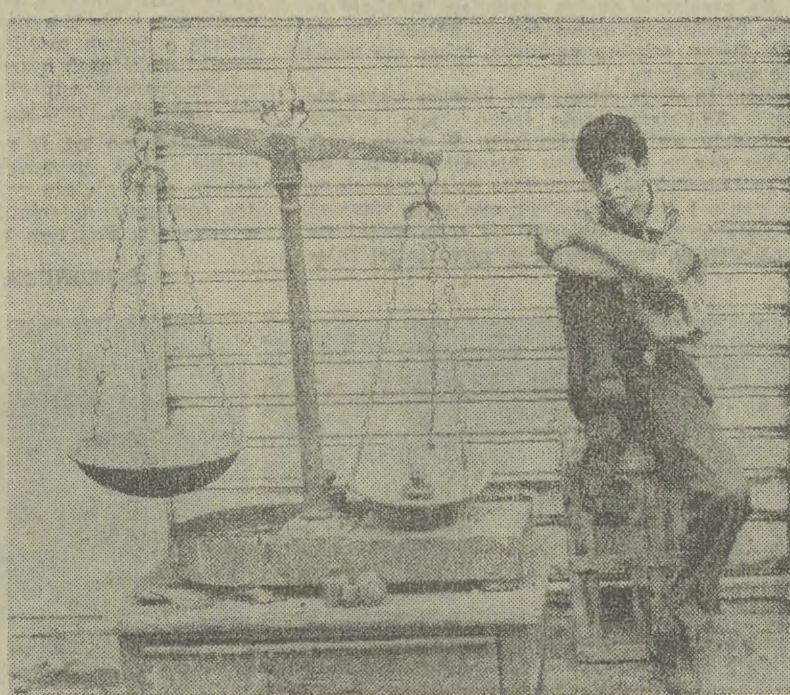
powiedniej wytrzymałości, która przydała się znakomicie na torze. W ubiegłym roku trenerzy kadry postanowili wypróbować Jankiewicza w najważniejszych wyścigach szosowych, no i nie zawiedli się.

Na mistrzostwa jechałem z myślą o medalu — wspomina Jankiewicz. — Każdy chyba o tym ma- rzy. Czuję się dobrze, byłem w formie. W wyści- gu drużynowym wspólnie z Langiem, Ciekańskim i Plutkiem wywalczyłem tytuł wicemistrza świa- ta. Medal więc już miałem, byłem spokojniejszy, rozluźniony. Ale gdy w dwa dni później stawałem na starcie wyścigu indywidualnego, myślałem: już tylko o medalu drzemam. Było na trasie kilka utru- czeń, jednak wszystko zostało „wklidowane”. Po- stawielem zaatakować na ostatnim okrążeniu. Dołączył do mnie Droga (???) i Miller (Wielka Brytania). W trójkę przejeżdżaliśmy z 8 kilometrów, wtedy dogonił nas jeszcze Włoch Giacomini. W pewnym momencie nasza czwórka jakby stanęła w miejscu. Nikt nie chciał prowadzić, każdy chciał się za plecami rywalu. Wszystko rozegrało się na ostatnich 300 metrach. Zdecydował się na atak Anglik, za nim poszedł Włoch i ja. Wyprzedziłem rywali, byłem przez moment pierwszy, ale w ostat- niej chwili wyprzedził mnie Giacomini. Byłem za-adowolony ze srebrnego medalu i zarazem zły na siebie, że dałem się zaskoczyć, odebrałem sobie pier- wsze miejsce. Liczy się tylko mistrz. Inni po- zostają już w jego cieniu. Mogłem rozegrać ten finis trochę inaczej: albo zaatakować znacznie wcześniej albo też nieco później, na 100 metrów przed metą. Sa to jednak już tylko czyste teorety- czne rozważania.

Jankiewicz okazał się zachłanny na medale, nie- zadowolony ze srebrnego tytułu wicemistrza świa- ta, postanowił spróbować szczęścia po raz trzeci. Tym razem na torze stanął do walki na dystansie 4 km. I był bliski sukcesu. W walce o wejście do czołówki najsilniejszy przegrał wyścig z Holendrem i — jak twierdzą niektórzy obserwatorzy zawodów — stało się to tylko wskutek „sztyczek” taktycz- nych rywali, którzy dwukrotnie zpląsał defekt ro- weru, wobec czego dwukrotnie przerywano wyścig, co wybiło z uderzenia i rytmu Polaka.

To już jednak historia, teraz czas myśleć o ter- zyszkach w Moskwie, o niezwykle trudnej, szutrowej wybudowanej trasie olimpijskiej (blisko 100 zakrętów, liczne wzniesienia, podjazdy, zjazd). Bo o medalach jeszcze za wcześnie mówić. Na ra- zie Jankiewicz chce się solidnie przygotować do te- go swego drugiego startu olimpijskiego. Jeśli ba- dzie w formie, to waska, kręta trasa na Kryłskaja- je nie powinna stanowić większych trudności. W formie powinien być, w to nie wątpi. Natomiast nie ma pewności w innej sprawie: czy wystartował- tyko w wyścigu drużynowym i indywidualnym na szosie, czy także spróbować swych sił dodatkowo na torze? Kusi go ta koncepcja, chociaż jest w niej trochę hazardu. Ale on lubi dawać z siebie wyści- ska i... jeszcze trochę. A na razie Jan Jankiewicz czeka na wyniki plebiscytu na najlepszego polskie- go sportowca roku 1979. Ma szanse zostać tym na- lepszym.

TADEUSZ GÓRSKI



PAWEŁ HAVRAN (CSRS): „Zaduma”.

POD ADRESEM: KRAKOWSKIEGO TOWARZYSTWA FOTOGRAFICZNEGO

Z czterech ewangelii, które uzna- ne zostały przez Kościół za ka- noniczne, czyli święte i natch- nione, tylko dwie — według Mateu- sza i według Łukasza — wspominają o narodzinach Jezusa:

„Gdy więc narodził się Jezus u Betlelem Judejskim, za dni Heroda, oto Medrzy ze wschodu przybyli do Jerozolimy, mówiąc: Gdzie jest, który się narodził, król żydowski?”

Dalszy ciąg opowieści Mateusza jest znany: okrutny i zawistny He- rod, król Judei, nie mogąc odnaleźć Nowonarodzonego, rozkazuje wy- mordować w Betlelem i okolicy wszystkich niemowląt. Józef ostrze- żony przez anioła, ucieka z rodziną do Egiptu, skąd wraca dopiero po śmierci Heroda.

Łukasz nie zna tego fragmentu, twierdzi natomiast, że Jezus urodził się w roku wielkiego spisu ludności:

„I stało się w owe dni, wyszedł dekret od cesarza Augusta, aby spi- sano wszystkie świat. Ten pierwszy spis dokonany został przez nami- stnika Syrii Kwirynusa”.

Do VI stulecia chrześcijańskie o- pierali rachubę czasu na kalendarzu rzymskim, według którego liczono lata „ab urbe condita”, czyli od hi-

lego dziedzictwo. W tym to roku, albo w rok później Kwirynus przeprowadził spis ludności.

Gdyby więc oprzeć się na świa- dectwie zawartym w ewangelii Łu- kasza, należałoby przyjąć, że Jezus urodził się nie w roku 750 licząc a.u.c. takby sugerowało Mateuszowe świadectwo, ale w 761, tzn. siedem lat później, niż to obliczył Dioniz- zjusz. W tym wypadku nasz nowy rok byłby nie 1980, ale dopiero 1973 roku! Naszej, liczonej od narodze- nia Chrystusa, ery.

Sumując, możemy owe sprzeczno- ści wyjaśnić następująco: jeśli przy- jmiemy dane Mateusza, będziemy musieli przyjąć, że Jezus narodził się ok. 4 roku przed naszą erą. Jeśli uwierzymy Łukaszu, jego narodzi- nów nastąpił w 7 roku naszej ery.

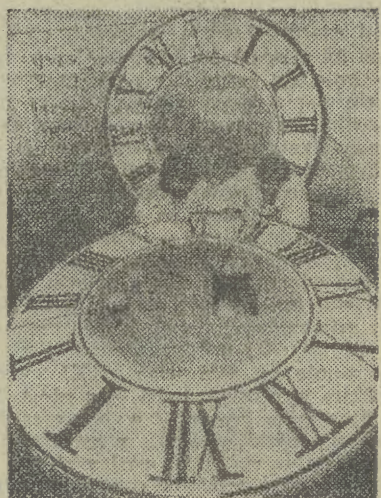
Co na ten temat mówią katolicy? W Biblii? Opinie ich są podzielone. Tak np. autorzy „Encyklopedii Bi- blii” twierdzą:

„Chrystus urodził się za życia He- roda Wielkiego, a więc przed 750 ro- kiem ab urbe condita, czyli na kil- ka lat przed naszą erą”.

Cóż jednak zrobić ze świadec- twem Łukasza? — Niektórzy bibliści przypuszczają, że, wbrew wyra-

W którym roku naprawdę żyjemy...

1980?
1985?
1973?



potężnej daty założenia Rzymu, względnie w oparciu o tzw. erę Dioklecjaną.)

Kiedy więc papież Jan I polecił u- czonemu mnichowi Dionizjuszowi (a- działo się to w roku 1279 a.u.c. czyli w roku 525 n.e.) obliczyć i ustalić datę narodzin Zbawiciela, aby już nie na pogańskiej, lecz na chrze- ścijańskiej opierał się rachuba cza- su, dysponował on tylko tymi dwoma, wymienionymi fragmentami „biografii” Jezusa.

Przyjęcie przez 25 grudnia jako dnia narodzin było posunięciem ja- kowicie arbitralnym. No, ale 25 grudnia — dzień zimowego przezi- lenia — był od dawna uroczystości obchodzony przez wyznawców wielu religii, posunięcie to stało więc w- znane i nie od dziś kościelnej prak- tyce „accommodatio”. Zresztą, ewan- gelie nie dawały w tym względzie żadnych, dosłownie żadnych wska- zówek. Co zaś do roku narodzin Je- zusa, Dionizjusz ustalił go na 754, ab urbe condita.

Dziś wiemy, że światobliwy mnich popełnił poważny błąd. Nie należy się jednak temu dziwić, gdyż i współcześnie żaden z uczonych bi- blistów — dysponując, niestety, sa- mym materiałem, co Dionizjusz — nie potrafił owo błąd poprawić. Z tej prostej przyczyny, że chrono- logia podana przez Mateusza jest sprzeczna z chronologią Łuka- szową.

Z opisu Mateusza wynikałoby, że Jezus urodził się pod koniec pano- wania Heroda. Z zachowanych na- tomist przekazów historycznych wiemy, że król Judei zmarł w roku 750 a.u.c., czyli — w najpóźszym wypadku cztery lata przed urodzeniem Jezusa. Wynikałoby z tego, że po- czątek naszej ery, liczonej od naro- dzenia Jezusa, należałoby przesunąć o 4 lata wstecz. Inaczej mówiąc, nowy zbliżający się rok byłby nie 1980, a 1984 lub nawet 1985, pamie- tając, że Jezus z rodziną powrócił do kraju dopiero w czas jakiś po śmierci Heroda.

Niestety, przeczy temu świade- ctwo Łukasza, który w opinii bibli- stów uważany jest za najlepszego historyka spośród ewangelistów. A Łukasza ewangelia mówi, iż Je- zus urodził się w czasie spisu prze- prowadzonego przez Kwirynusa (Publius Sulpicius Quirinius) nami- stnika, czyli legata, rzymskiej pro- wincji Syrii, do której w 10 lat po śmierci Heroda przyłączono także

nej sugestii zawartej w Łukaszu ewangelii, że — być może — spis, o którym on pisze nie był pierw- szym. Nie wszystkim jednak ów ar- gument przemawia do przekonania. Nasz znany bibliista, znany kil- ka lat temu ks. prof. E. Dąbrow- ski w swej pracy „Nowy Testament na tle epoki” tak pisał: „O spisie z ostatnich lat życia Heroda nie nie mówi Józef Flawiusz” skądinąd tak ujętym informator tego okre- su. Znamy jest natomiast Józefowi Flawiuszowi inny spis z lat 6—7 po Chr.”

Podobną opinię reprezentuje wy- bity bibliista włoski ks. Giuseppe Ricciotti, autor słynnej książki „Ży- cie Jezusa Chrystusa”.

„Nie mamy zaś żadnego dowodu, który by stwierdzał, że Kwiryn do- konał już uprzednio podobnego spi- su w czasie, kiedy narodził się Je- zus, czyli jeszcze przed śmiercią He- roda i na jego terytorium”.

I tak sprawa się zamyka. Wątpli- wości pozostają nadal nierozstrzy- gnięte.

Przed Dionizjuszem chrześcijań- ści wzięli nowy rok w dniu 6 stycznia. Potem — wyznaczono początek no- wego roku kościelnego na dzień 25 grudnia. Przyjął się także, oparta na zwyczajach rzymskich, praktyka świętowania nowego roku 1 stycz- nia. Doszło nawet do tego, że np. w średniowieczu świętowano rok nowy trzykrotnie. Ostatecznie tradycja rzymska zwyciężyła.

A co do pytania: w którym roku naprawdę żyjemy, to właściwie, nie ma się czym przejmować. Każda „era” ma charakter umowny). Chyba, żeby przyjąć, jak to robią Żydzi, liczenie lat od... stworzenia świata, które, zgodnie z chronologią biblijną nastąpiło 7 października roku 3761 przed naszą erą. Cóż, kiedy ten nasz świat jest jednak znacznie starszy niż to sobie wyobrażali au- torzy Biblii.

WIESŁAW MERCIK

1) Rozpoczęła się ona w 234 roku n.e., 2) Żyjący w I stuleciu historyk żydowski, 3) Buddyści liczą rachubę lat od (niepewnej) daty śmierci Bud- dy, obliczonej na rok 544 p.n.e., 4) Świat islamu — od dnia niezłoczki Mahometa do Medyny, co nastąpiło ponoć 15 lip- ca 622 roku.

KALENDARZEM

dość szkoły, choć tak na nią czekały! A myśmy zakładali — pisał pani Łopatkowa nie kryjąc rozczarowania — że reforma pomoże dzieciom pokochać naukę i nauczycieli! I dodaje: Przeciwnie! Psychicznie dziecko w parze z przeciwnie fizycznym. Zwiększyliśmy pierwszaka z całym jego uczuciowym ekwipunkiem. Ekwiunek ten waży 5 kg, a chłopiec 20 kg. Wyobraźmy sobie, że wzięmy 60 kg i nieśmy pakunek 15 kg, dwa, trzy kilometry większą drogą. Narzekalibyśmy, że ciężko!

Maria Łopatkowa jest znakomitą specjalistką od potrzeb dziecięcych. To ona apelowała o pojawienie się w kodeksach sformułowania o prawie dziecka do miłości. To ona wypowiedziała publicznie, o czym mówią wszystkie matki siedmiolatki dźwigające na nieufornym, jeszcze kościstym ciele jedną czwartą ciężaru całego ciała w postaci niedopiniastego się torseleta i wypchanych worków. A system nerwowy tych dzieci? Przecież mały uczeń nie zawsze może zapamiętać, co pani zadała do domu (zapisać jeszcze nie potrafi); co pani karała przywieść na lekcję (tego codziennie jest dużo); bo się, że zapomnił czegoś a pani będzie niezadowolona itp., itd.

Dla prawników rok z Wypisanką w kalendarzu był okresem permanentnych narażeń nad statusem prawnym dziecka. Jednych ów status satysfakcjonuje postępowością zasady „dobro dziecka jest równoznaczne z interesem społecznym”, innych niepokoi lukami w systemie opieki. I tak np. „waikowano” problem zbyt niskiego fundu-

szu alimentacyjnego, z którego notabene korzysta ponad 80 tysięcy samotnych matek. Albo praktyka karania wyrokiem z zawieszeniem za zabicie się nad dziećmi. Jakas ma skuteczna? Brak takcie nadal ustawy o demoralizacji nieletnich, sędziowie z konieczności opierają się na starej z 1932 roku, bo okazała się lepsza niż wszystkie jej późniejsze korekty!

Oczywiście wymieniam tylko niektóre z prawniczych zmartwień dotyczących dziecka. Aby ich rejestr był bardziej kompletny dodam tylko, że przewidziany na 1979 rok plan przekazywania (jakże to zobowiązanie!) kilku tysięcy chłopców i dziewcząt z państwowych domów dziecka do rodzin, oraz do rodzin zastępczych, posuwał się przez teren zjeżdżone barykadami wielce utrudniających przepisów. Jedną z tych barykad jest np. — co wytknięto na pewnej naradzie przedstawicieli sprawiedliwości — niechęć kierowników domów dziecka do wypuszczania spod swych skrzydeł dzieci nie sprawujących kłopotu. No bo myślała: oddamy grzesznego jakiegoś rodzinie, a nam, kto wie, jaki element dać?

Międzynarodowy Rok Dziecka również i handlowcom nie raz, nie dwa zabarwiał uszy na czerwono. Musieli się chyba zawstydzić, gdy na komisji sejmowej ktoś z posłów zapytał, gdzie znikły kompletne wyprawki dla niemowląt? I dlaczego firmy kosmetyczne jak mogą, tak omijają obowiązki posiadania atestów zdrowotnych? I dlaczego na przykład w sklepach Raki i innych miast leży przeterminowane mleko w proszku, a „cypisek” nagminnie powoduje

uczulenia? Dlaczego wreszcie obywateli dla dzieci nie posiada żadnej z cech wymaganych przez Instytut Matki i Dziecka? Zawstydziliby się chyba jeszcze bardziej, gdyby znali listy matek do redakcji pełne autentycznej pasji i autentycznego poczucia bezsilności: dlaczego zlikwidować jedyny wielobranżowy sklep dziecięcy w Krakowie przy ulicy św. Krzyża? — pytają. — Przecież to, co się tam teraz sprzedaje, to kłapa z rydula! Dlaczego znikają w sklepach napisy o pierwszeństwie kobiet ciężarnych i obarczonych małymi dziećmi? Bardzo to jest na rękę tym, którzy z zasady nie uznają żadnych przywilejów dla macierzyństwa...

Ach, byłabym zapominała! U progu Roku Literat, JANUSZ PRZYMANOWSKI, ten od „Czterech pancernych i psa” wystąpił w obronie maluchów jako członek Polskiego Komitetu Obchodów MRD: „Moje Kochani” — powiedział promiennie — proponuję, aby na polskich opakowaniach poproszono wprowadzić nadruk: że tytuł jest środkiem rakotwórczym oraz apel: nie trućcie przynajmniej dzieci! Obrazek, na którym mamusia i tatusiś dymią jak dwa stare przewozy pchają w wózku niemowlaka, który się krztusi — jest widokiem dość częstym! Tu dodał ułkon również w stronę Związku Harcerskiego Polskiego: Może warto byłoby — powiedział — wprowadzić tymczasem przynajmniej zakaz palenia na obozach i nadarzach harcerskich? Przecież teraz najpiękniej widok dym nad krzakami, a potem dopiero harcmistrza...”

Nasz przegląd kalendarza zakończmy nietypowo, gdzieś w jego środku. Nad pogodnymi dniami stała chyba „Dziwczynka w niebieskim kapeluszu” gdy ZBYSZEK SATELA spotkał w swoim niełatwym życiu szefa działu interwencji „Gazety” takich dorosłych, którym wadziła... piaskownica. Zrobili wszystko, aby dwu młodym zapaleńcom odebrać się pomysłowi. Zbyszek napisał o tym filozoficzny traktat. Nie, żeby owi doradcy byli wariaci traktatowi, ale rzecz sama, przeciwna w nieskończoność przez sady i urzędy. Finału nie znam, znam datę sprawy. Trwał właśnie w pełnej krasie optymistycznych sprawozdań Międzynarodowy Rok Dziecka.

EWA OWSIANY

Wiek XXI już za 20 lat!

W ten sposób stan wiedzy — w biologii, w fizyce — uświadomił nam dopiero jak niewiele potrafimy powiedzieć o człowieku, jako o całym organizmie. I teraz stanęliśmy w naucz przed fascynującym etapem: dopracowaniem się tego całokształtowego obrazu. Pełnego. Bez znaków zapytania.

JERZY BROSKIEWICZ — pisarz

Wierzę i mam nadzieję, że w kalendarzach ludzkości notujemy czas doświadczeń naszej ery, rok 2000 będzie raczej początkiem niż końcem świata. Żywie bardzo niepewna, ale jaką taką nadzieję, że będą piś zdrowie wieku XXI w ostatnią noc XX wieku. To zresztą jest moja prywatna sprawa, ale nie całkiem... Bo powiedziałem, że choć piś zdrowie, to znaczy mam nadzieję, iż ludzkość wytrzymała się w swych najtrudniejszych chorobach, takich jak zbrojenia i głód, niezawinione nieuczucie i głupota.

Właściwie nie znam klasycznej definicji zdrowia. Toteż mówię „zdrowie” myślałem o takim potęgach rzeczy, w którym człowiek będzie człowiekiem głęboko ludzkim człowiekiem. Kiedy potrafił uszanować wolność w sobie i wolność dookoła siebie w społeczeństwie i zbiorczym tych zjawisk zrozumieniu, co znaczy: ja żyję przede wszystkim dzięki ludziom, a więc też przede wszystkim dla ludzi.

Są to wszystkie wiadomości egotyczne, ale mają dla mnie ich wartość, że wypowiadam je wczoraj i z przekonaniem. Jeśli zaś chodzi o kraj, w którym się urodziłem, żyję i kiedys żyć przestanę, to od wielu już lat czuję się niejako zintegrowany z narodem i państwem, integracją podobną w sensie filozoficznym do tej, jaką snąmy z epoki, w której naród zajął Polskę drewnianą, z osławioną murwaną. Północne moich rodziców i moje zostało Polskę w Kruszech i popielach gaszonych krwaw. Pokolenie moich rodziców i moje odezwało się odczekało. Pokolenie następne będzie już stawiało na nogi wiek XXI. I wiem, że oni będą nas za niejedno krytykowali, a czasem być może nawet śmiać nad nami. Proszę bardzo, śmieć się, ale z chęcią, że dobrze co pokolenia dają odziedziczone potrafiły przygotować jako fundament pod nasz nowy, wspaniały świat. W przedświatach do Aldena Hazleya wierzę, że ten nowy świat nie będzie rzy i że obok śmiechu zasłuszywno na niejedno dobre słowo i rozsądną pamięć. Zapraszamy na, Sylwestra 1980!

Wypowiedzi zebrali: ELŻBIETA DZIWIŚ, STEFAN MACIEJEWSKI, JERZY PIEKARCZYK i ANNA WCISŁO

Spod Wawelu pod palmy Akaby

(CIAĞ DALSZY ZE STR. 4)

zalki i marmurowe intarsje zdobią ściany wewnętrzne, na kapitelach kolumn ślady złocon, a gdzieś pośrodku sali — mauzoleum św. Jana Chrzciciela, uznanego również za jednego z proroków islamu.

I znów damasceńska ulica. Mężczyźni ubrani po europejsku, ale także w długich barwnych galabijach. Kobiety w modnych sukienkach, lecz również zakwiecone i w czarnych obszernych płaszczach. Wyglądamy w tym tłumie inaczej, co rusz ktoś natarczywie pyta: — English, German, Sweden?

— Pole, Polonia, Bolanda! — odpowiadamy. — Polska! poprawia nas wszystkich Henryk. — Po prostu mówcie Polska!

DŁA OMARA NIE MA SPRAWY!

Gdzieś w okolicy góry, na której Kain zabił Abila, przysiadamy, by chwilę odpocząć. Nie wiadomo skąd Prezes przyprowadza dwoje młodych ludzi: Omar Faris jest Palestyńczykiem kończącym studia w Krakowie, Bogusia — jego żona — jest Polką. Na wieczór mamy już zaproszenie do rodziny Omara, ale teraz jedziemy wszyscy do obozu palestyńskiego pod Damaskiem. — Zobaczycie nasze „Lwiątka” i „Kwiaty” — mówi poważnie Omar — załatwiłem u ministra, nie ma sprawy!

„Lwiątka” i „Kwiaty” to palestyńskie dzieci, które akurat w momencie naszego przybycia uzbrowione w menażki ustawiają się w kolejki przed kuchniami polowymi. Są tu już od miesiąca, ale ich wakacje bardzo się różnią od wakacji wszystkich innych dzieci, bo mniej w tym obozie figlów i zabawy, znacznie zaś więcej traktowanych całkiem serio żołnierskich zajęć. To prawda — codziennie w programie jest sport, muzyka, wspólne śpiewy i rozrywka, lecz kiedy palestyńscy chłopcy i dziewczęta przystępują do musztry, zajęć taktycznych, rzucania granatem i strzelania z karabinu ostrymi nabojami — z zabawą nie ma to już nic wspólnego, a wyobraźnia 8-letnich „Kwiatów” i „Lwiątek” przestaje być kolorową wyobraźnią dziecka.

W tym tylko obozie pod Damaskiem, pod wejskowymi namiotami, jest ich 2400, najmłodszy mają po 8 lat, najstarsi po 16. Przybyli z różnych stron Syrii, ale także z Algierii, Kuwejt, Libanu i Jordanii, nieznadko nielegalnie przetrzynali przez dobrze strzeżone granice. Te małe i trochę starsze dzieci o pięknych rozmarzonych oczach przeżyły już niejedno, niektóre nawet nie znają swoich rodziców, więc kiedy na pożegnanie podnoszą w górę dłoń i układają dwa palce na kształt litery V, to tak jakby chciały nam powiedzieć, a przez nas całego światu, że dla nich „victoria” ma tylko jeden sens: „własny dom i własną ojczyznę”. A skoro to najważniejsze ich odcim i im odebrano — oni już teraz muszą uczyć się strzelać. — Naród, którego dzieci potrafią posługuwać się bronią, nigdy nie może zginąć — powiedział na pożegnanie jeden z nielicznych w obozie dorosłych Palestyńczyków.

Podskakując na wybojach, „TAM” wioził nas zwolna do Damasku. Nikt nie miał ochoty rozmawiać.

*

Kolacja u Omara. Przed domem witała nas prawie cała ulica, a teraz siedzimy w kuchni wzdłuż rozciągniętej na całą długość dziedzińca maty, zastawionej smaczkowitościami kuchni arabskiej.

Tu jest nasz polski dom, nie ma sprawy! — przekrzykuje wszystkich Omar, podsuwając nam pod nosy nadziewane ryżem bakłajany, cukinie w sosie pomidorowym, misiste arbuzy i górę winogron.

Z kuchni dobiega zapach parzonej kawy, ale biesiadników jest chyba z pół setki, więc Nukha, matka Omara — milcząca i cała w czerni — z jakimś rytualnym nabożeństwem młodzi na proszek czarne ziarno w zdobnej drewnianej słoce, a czyni to tak rytmicznie, że chciałoby się zatańczyć. Jest taniec i to taniec brzucha! — czarnaooka Fatma porwała w piasy naszego Zbyska, no i mamy coś w rodzaju boogie-woogie na dworze kalifa.



W sercu pustyni jawią się nagle ruiny Palmyry.

Omar ciągnie mnie w kąt, gdzie już czeka Prezes. — Chcecie jechać do Bejrutu? Już załatwiam, nie ma sprawy!

Prezesowi płoną oczy, ja już widzę się w roli wojennego korespondenta.

— Sprawa jest prosta, decyzja jest jedna! — wraca na ziemię Prezes. — To zbyt niebezpieczne, to znaczy niebezpiecznie naruszyłbyśmy harmonogram wyprawy!

Alle najzwyklej rano jedzie zbroczony z trasy. Wprawdzie przed nami nie Beirut, lecz Kunejtra, stolica dawnego muhafazatu (województwa) obejmującego okupowane przez Izrael Wzgórza Golan. Miasto zwrócone Syrii przed 5 laty wygląda dziś tak samo jak w dniu, w którym opuściła go izraelska okupacja. Jedna wielka ruina, mimo że nie było tu większych operacji wojennych. W ciągu 20 dni poprzedzających oddanie miasta izraelskie budowniczowie i dynamit obrócili Kunejtrę w pył. — Niech to ścieżki zobacz! — mówi Syryjczyk. — Dopóki Wzgórza Golan są pod okupacją, nie przewidujemy odbudowy Kunejtry. Bo co może serce, jeżeli pozostawiono je takim!

Z pewnością wróć kiedyś do tego ponurego tematu, ale teraz czas już żegnać Syrię. Omar tylko sobie znany sposobami przeprowadza nasz autokar przez strażnicę drogi do Kunejtry posterunki „blekitnych hełmów”, pewnie ma coś w zanadrzu od ministra, bo z przejazdem „nie ma sprawy”.

Nadal na czele z Omarem mijamy syryjski urząd celny w Deraa, prawie nie wyciągając paszportów z kieszeni, ale „sprawa” czyli długi postój, zaczyna się po jordanjskiej stronie, bo na Palestyńczyków patrzy tu nieco inaczej niż w Syrii, więc nasz dzielny „cicerone” — choć chciałby nas dowieźć do samej Akaby — bierze jednak odwrót na Damask.

WELCOME TO JORDANIA

Jordania wita nas cudownym błękitem nieba, portretami króla Husajna i widocznym pomieszczeniem wszystkich co arabskie z wpływami Zachodu. Dostrzeżemy te wpływy i w architekturze, i atmosferze wielkich miast, także w holdowniu na każdym kroku zasadzie „business is business”, czy wreszcie w modzie i sposobie bycia, zwłaszcza młodych Jordanczyków.

Cheśmy spomnieli Jordanię za granicą — witał nas w Dżezzar właściciel turystycznego zajazdu — a ponieważ jesteśmy pierwszymi u mnie Polakami, rozbiłbyście swe namioty gratis, korzystajcie z wody i światła, a jutro rano zapraszam na herbatę!

(CIAĞ DALSZY NA STR. 6)

ZONA DUCE

W wieku 80 lat zmarła na raka serca wdowa po Mussolinim Rachele Guidi, bo takie było jej pańskie nazwisko. Spotkała Benito Mussoliniego w 1906 roku. Pracowała wówczas w kuchni restauracji prowadzonej przez oca późniejszego dyktatora Italii. Zakochany Benito groził samobójstwem na wypadek, gdyby nie chciała za niego wyjść. Co nie przeszkadzało mu zalegalizować ten związek dopiero po pięciu latach. Między 1922—1943, a więc w okresie kariery politycznej niesławnego Duce, Rachele zajmowała się domem i rodzicami (pięciorgo). Po upadku dyktatora (zginął zastrzelony a potem powieszony) pozostała bez środków do życia. Przedsiębiorcza Rachele odczytała batalię — zresztą uwiecznioną sukcesem — o państwową emeryturę po mężu. Udało jej się nawet odzyskać spórą część rodzinnych dóbr. Ale niesława pozostała i trzeba się było iść do pracy. Przez ostatnie 15 lat pani Mussolini była restauratorką i własnoręcznie przyrządzała dla swych gości pyszne tortellini.

SUPERWOMEN

Damska sylwetka o atletycznej budowie — czy to się może komuś podobać? Podobno nawet bardzo. W Stanach Zjednoczonych działa nawet specjalne stowarzyszenie pań, które ćwiczą intensywnie, nieć przez w tygodniu, wypiskując szereg. W Kalifornii powstał ośrodek takiej gimnastyki dla pań, których marzeniem jest cienka talia i biodra, a muskularne bary i nogi. Entuzja-



stki tej nowej mody stwierdza, że gimnastyka ta zapewnia im doskonałe samopoczucie, pewność siebie i zupełnie brak obawy przed nadwagą („teraz wreszcie możemy się opychać kremami i ciastami bez żadnego ryzyka...”). Wszystko jest kwestią gustu, a więc także to kto ma więcej wizerunku: Raquel Welch czy Aliecia, to spójnijcie.

„KSIĄŻKA KUCHARSKA” NA MAŁYM EKRANIE

Niewiele pań ma w głowie wszystkie przepisy kucharskie i nie potrzebuje zaglądać do kuchennej literatury. Książki kucharskie, zwykle opasłe, są dość niewygodne w użyciu. Nowym odpowiednikiem dla gospodyń w domu pań ma być mały projektor Culine Vu. W jego wydaniu książka kucharska ma postać mikrofilmu. Na ekranie tego przyrządu, w dość dużym powiększeniu, można sobie wyświetlić potrzebny w danej chwili przepis i nie przerywając niżej plany zerknąć nań nawet z daleka odległości.

(CIAĞ DALSZY ZE STR. 5)

ni. Ale równocześnie jesteśmy w stanie to nadrobić w najbliższej przyszłości pod warunkiem uzyskania 100 proc. planowanych efektów w przemyśle ukierunkowanym na potrzeby rolnictwa.

Niestety, nie zawsze jesteśmy konsekwentni w realizowaniu dobrych programów. Tej konsekwencji, wspomaganą przez ujednoliconą sytuację polityczną i gospodarczą na szerszą skalę naszego kraju, trzeba nam przede wszystkim.

Dr inż. JERZY HUCZKOWSKI — biolog

— W XX wiek wchodziliśmy z optymizmem. Liczyliśmy, że szybki postęp cywilizacji technicznej rozwiąże nam jeśli nie wszystkie, to z całą pewnością większość problemów. Tak to trwało do momentu uświadomienia sobie, że nie nie dzieje się tylko własnym rozpadem. Ze stanu optymizmu niektórzy popadli w nastroje skrajnie pesymistyczne. Bo okazało się jednak, że nie jesteśmy w stanie znaleźć odpowiedzi na niektóre pytania, a zwłaszcza na jedno: jak należy organizować świat, aby człowiek czuł się w nim lepiej, bezpieczniej, aby miał szansę najpełniejszego rozwoju. Rozwój cywilizacji technicznej — okazało się — nie stanowi panaceum na wszystko. Bo nie chodzi nam wyłącznie o stan wiedzy o świecie, ale o sposób wykorzystania tej wiedzy. O tym jednak nie decyduje naukowcy.

Minal okres hurraentuzjizmu, wystarczającego rozczarowaliśmy się do niekontrolowanego rozwoju cywilizacji technicznej. Z tego rozczarowania poczęły rodzić się nowe kierunki poszukiwań. Tematy zostały nam narzucone poprzez społeczne oczekiwania i potrzeby.

W biologii radiacyjnej można właściwie wymienić dwa takie obszary badań. Pierwszy — to prace nad wykorzystaniem wysoko energetycznych cząstek naładowanych do terapii nowotworowych. Te cząstki, produkowane w akceleratorach, można zlokalizować w chorej tkance zgodnie z najbardziej nawet skomplikowaną diagnozą lekarską.

Imy problem, jakże istotny z punktu widzenia społecznego zapotrzebowania: mianowicie próbowanie promieniowaniem jonizującym tak powiązane z innymi czynnikami mutagennymi, aby informacje genetyczną w roślin można było dowolnie modyfikować w pożądanym przez człowieka kierunku. Na wyniki tych badań oczekuje rolnictwo.

Odkrycia, które przyniosą efekty w XXI wieku...? Chyba wykorzystanie znanych obecnie metod i narzędzi w terapii i diagnostyce lekarskiej. Na razie przeszkoda w pouszczelnieniu stosowaniu tych metod jest brak odpowiednich, zresztą niezwykle kosztownych urządzeń — akceleratorów. Ale, może za dwadzieścia lat...

Patrząc na stan naszej obecnej wiedzy, nie mogę oprzeć się jeszcze jednej refleksji. Otóż kiedy przed laty podejmowaliśmy szczegółowe badania, byliśmy przekonani, że ta wiedza wyświekla zebrała w jedną całość da klarowny i przejrzysty, ogólny obraz rzeczywistości. Ale tak się nie stało. Uzyska-

że zarzucił sieci na aktorów już z prawdziwego zdarzenia „czujących” styl i ton kabaretowy (W. Ruskowski, I. Orska, L. Herdegen — konteransjer! — czy H. Chaniecka, R. Wroński, M. Jastrzębski). Reżyserowali zaś tacy majstrów sceny, jak m. in. Władysław Krzemiński, wyborny znawca gatunku kabaretowych widowisk, czy J. Ronald-Bujalski również wykazujący zainteresowanie estradową sztuką.

A przecież, obok teatralnego nurtu „Artosu” ze stemplem już prawie w całości zawodowym, istniał inny nurt tworzący co najmniej kilka lat własnym poczynaniom estradowym Artosowców z etatu i popołanie. Tymi imprezami, mon-

nam. Tu święcił triumfy komizm: Antoni Fertner w nieśmiertelnym dialogu z J. Dwornikiem „Przy kasie”, Wojciech Ruskowski i równie niezawodna interpretacja „Ten Persja” (w którym to śpiewnym „numery” odziedziczonym po L. Sempolickim z „Siedmiu kotów” naprawdę nie wiadomo kto z nich obu był lepszy). Ale estradowe tawry zbierał wtedy i M. Belfarska, i J. Zielińska, i K. Schubert, i Z. Mroczewski, i E. Solarski, i T. Weselowski — nie licząc ówczesnej młodzieży: M. Cebulskiego, W. Sadeckiego, K. Witkiewicza, S. Zaczęły, J. Jabrzyńskiego, M. Stebnickiej, Z. Węglarówny i wielu innych.

Zespołiki te jeżdżyły w noc sylwestrową od kina do kina, od sali Filharmonii do teatrów — z wyliczonym co do minuty planem występów w różnych punktach miasta — mając do dyspozycji parę takówek. A na wszelki wypadek, w razie jakiegokolwiek nieprzewidzianego pośluscia awaryjnego, konferansjer „latki” program do wzięcia tak długo, póki część przewidzianych wykonawców nie nadjechała z poprzedniego miejsca występu. Bywało, że np. Ruskowski zżyznany, nie mogąc jeszcze znieść tohu — wpadał na estradę i zaczynał swego „Persję” od końca, bo mu się w trakcie jazdy takśkawa wszystko pomazało. Pamiętam, że pewnego razu Wojtek w ogóle zapomnił słowa swego monologu i wyliczając tańczył na scenie otwierając co chwile usta, jak raba łoknada wody a wreszcie (bo minuty biegu) pchnął na w pięć n w dziesięć — pełną kwestię radcy Kłoczka z „Romansu z wodewilu” i niemal z rozpaczą rzucił to finnie „Ach ten Azja” (zamiat „Persja”). Co słuchacze przyjęli jako... nową pozycję w repertuarze Ruskowskiego i powtarzali później, że to nieprawda, iż artysta nie chce się uczyć świętych tekstów...

Zdarzyło się także w jeden z wieczorów starego roku, zaczętego zaraz po godz. 22 (jako pierwszy z całej serii), że Karol Szpalaki prowadzący ów program o godzinie wcześniej obwieścił Nowy Rok. Po czym, zorientowawszy się po chwili kłopotliwego milczenia na widowni, że popłynął omyłkę — dopowiedział zduszonym głosem: bo proszę państwa my tu też wyrabiamy ponad plan, i być może, wyprzedzimy następny rok o dwa lata...

Takie to były czasem Artosowe Sylwestry bez mała 30 lat temu!

JERZY BOBER

Pod skrzydełkiem Artosu...

steczka i wle, mieściły się w rozmaitych formach: od namiastek teatrów (trzeba przypomnieć, prymitywnych i mocno amatorskich) do montażu „podniostych i kucał”, od koncertów z udziałem solistów zawodowych, nie zawsze wybitnych — do rewiu estradowych, też często opartych bardziej na dobrych cześciach, niż polozmie rzeczywiste artystycznym. Ale ów „Artos” gromadząc różnej maści chętników, obok utalentowanej, choć wciąż amatorskiej młodzieży rwącej się do dzieła upowszechniania kultury — zapisał na swoim koncie urodziny krakowskiego Teatru Satyryków, z którego potem powstała grupa estradowa „Wagabunda” — ze Szpalakiem, Żaluckim, Kotarską, Wysocką — w początkowym okresie istnienia. Zaś sam Teatr Satyryków, prowadzony z inicjatywą dyr. M. Noszewskiej — przez Stefana Otwinowskiego, Karola Szpalakiego i Tadeusza Kwiatkowskiego — przyciągał nie tylko pisarzy-satyryków (B. Brzeziński, L. J. Kern, K. Szpalaki, M. Baczalski, W. Zechenter), którzy osobście występowali ze swymi tekstami na jego scenie, lecz tak-

Jeśli zatem powiem, że było to na początku lat pięćdziesiątych, kiedy na pewien czas odszedłem z mojej macierzystej redakcji (etc.) — muszę zaraz dodać: do jak odszedłem? Co ma przecież znaczenie dla toku i następstwa wydarzeń, mimo wszystko związanych (tużnię) także ze wspomnieniami sylwestrowymi. Przypadek bowiem zdecydował, że zawodziłem do instytucji, z której — a zarazem z towarzyszącej „krewniaczek” w szeroko pojętej działalności rozrywkowej — tępo się dotąd namiewałem.

Spod Wawelu pod palmy Akaby

(CIAĞ DALSZY ZE STR. 5)

Ale gdy szef, wskazując najlepsze miejsce na białak, powiedział nam dobranoc — do akcji wkroczył uprzejmy dotąd pomocnik obwieszający, iż on tu teraz rządzi, wobec czego jeżeli nie damy po dwa dolary od osoby, musimy się zaraz wynosić. I aby nikt nie miał wątpliwości, dzielny cieć natychmiast wyłożył prąd i wodę, zamknął bezwzględnie naszym panom toaletę, a przede wszystkim bez przerwy wrzeszczał, strasząc policję. Już, już chcieliśmy płacić dolarową dole, kiedy sprawę przejęli w swe ręce identycznie jak my potrafił Anglik, dowódca na wstępie pazernemu Jordanczykowi, że jego angielski jest równie czysty jak ich arabski i uciekając się następnie do kilku innych jeszcze argumentów, wobec których my poczuliliśmy się lordami. Cieć zwątpił w końcu czy w ogóle ktoś go tu rozumie, zaś my spaliśmy jak suszy, budząc się rano... nad Forum Romanum.

Bo Dżerasz to z jednej strony wzgórze (na których właśnie odbyło się polsko-jordańsko-brytyjskie starcie) pełne uroku miasto nowoczesne, a z drugiej — wspaniałe miasto starożytnych Rzymian, którzy tu właśnie w II wieku chętnie przyjeżdżali wypoczywać, pozostawiając potomności, to co znamionowało ich wielkość: przepyszne Kolumnady, świątynię Artemidy, cudownie akustyczny amfiteatr na 5 tys. widzów (dziś również użytkowany), Tetrapiłon i agorę. Gapił się na to wszystko jak urzeczony, bo wschodzące słońce z każdej chwili ożywiało monumentalne budowle, grając w ciepłym kamieniu tyśiącem refleksów i półcieni.

GORĄCO, SŁONO, NERWOWO...

Amman to przede wszystkim wspaniała panorama. Przyjeżdżając do rozłożystych wzgórz stare domki i okazałe nowoczesne wille, mienia się w słońcu białą i turkusową, zaś w dole jakby wetknięta w ziemię miska starożytnego amfiteatru korzystnie harmonizuje z wystrojem młodszych od niej o setki lat budowli. Przystajemy na krótko, aby rzucić okiem na ruiny świątyni z czasów Marka Aureliusza, przekonując się, że cytadela z akropolem na wzgórzu Dżabal al-Kal'a zamknięta jest na cztery spusty, no i poodychać trochę atmosferą stołecznego miasta.

Ale tak naprawdę — oddychać coraz trudniej, w gardle sucho, więc Mieltek — już w drodze nad Morze Martwe — raz jeszcze przestrzega przed wodą z amebami, dodając co nieco na temat możliwych rozstrojów nerwowych. Sugestia robi swoje — ktoś głośno stwierdza, że ma już chyba niezłą gorączkę, bo krzyczy raz za razem „plonie mi coś w oczach”. Kiedy jednak się okazało, iż tak właśnie w rozegranym powieściu „plonie” bez ognia purpurowe kwiaty „gorączkowanego krzaka”, ktoś inny zaczyna się nie żarty denerwować, że tego biblijnego krzaczka jeszcze nie widział. Nerwy, nerwy...

Plawimy się w Morzu Martwym. Fajda niebywała, bo w tej słonej zupie po prostu siedzi się jak w fotelu. Ponad 7-krotnie większe — niż w zwykłej wodzie morskiej — stężenie soli sprawia, że w Morzu Martwym nie można utonąć, można natomiast swobodnie przeglądać gazetę, albo napisać do domu „kartkę prosto z morza”. Ale na brzegu parno jak w fińskiej saunie. To morze pluszcze się w 392-metrowej depresji. Najmniejszego podmuchu wiatru! W 50-stopniowym upale oblepiony solą człowiek czuje się jak w piekle.

Wieczorem z wysokości Góry Nebo — z której umierał Mojżesz — ujrzał Ziemię Obiecana — widzimy jak na dłoni świątla Jeruzolimy, gdzieś obok leży Betlejem, a tuż przed nami skrzyż się Morze Martwe i długa wstęga Jordana.

W WIELKIM KANIONIE

Księżycowy krajobraz, upał jeszcze większy niż wczoraj. Po bezsennej nocy w starej szkole w Madabie został tylko piasek w oczach, przykre wspomnienie brudu i kosmatych pajaków. Wodnym błędnym wzrokiem po szaro-żółtych urwiskach, nigdzie śladu życia. Górskie szczyty o dziwnych kształtach, jakby zbudowane z plasteliny, w dole przepaść tak wielka, że kręci się w głowie. Natura zastęga tu w jakichś niesamowitych, zaklętych pięknie — gdyby nie droga, można by sądzić, że jesteśmy na obcej planecie. Serpentyzny, o jakich nam się nie śniło, „TAM” pokonuje z największym trudem. Fartarz z kolejnego szczytu na przebieg drogę — nie sposób uwierzyć, że można było tamtędy przejechać.

Wreszcie ślady życia, roślinność, zagubione w pustkowiu osiedla — dojeżdżamy do Kerak, 91-kilometrowy odcinek z Madaby pokonywaliśmy prawie 3 godziny. Kerak — „Kamień Pustyni”. Ta nazwa, nadana osadzie jeszcze przez krzyżowców, wiele mówi o tym odcinku. Ale życie można wszędzie — u stóp wzgórz, na którym krzyżowcy zbudowali potężne fortyfikacje aby po prostu przeżyć po zdobyciu Ziemi Świętej, tętnią dziś gwarem handlowe arabskie uliczki. Lecz za ostatnią z ulic znów kończy się życie. Zjeżdżamy stromo w dół — „TAM” ledwo zipie, hamując na dwójce.

— Z tej drogi nie ma odwrotu — mówi ktoś za mną, nie wiedząc jeszcze że wyrzekł to w złą godzinę...

Ciąg dalszy — za tydzień

JACEK PAŁAMARZ

Grzebiemy się w śniegu po kolana, dobrze przynajmniej że Borys idzie pierwszy i ja stawiam buty w jego ślady. Prowadzi pewnie, na pamięć albo na wyczucie. Nie dziwne, do domu nad strumieniem chodzi od przeszło osiemnastu lat. Zawiazał mu oczy — i też trafił, z głównej drogi nie idzie się tam dłużej niż trzynaście minut.

— Poznasz — śmieje się Borys — prawdziwego tajożnika. Piotr Agoonow miał dwadzieścia lat, gdy zapisano go do grupy geologów i odtąd nie wyobraża sobie innego życia... Wiem już od Nadii, żony Agoonowa że Piotr właśnie taję stawia na pierwszym miejscu w swoim życiu. Nadia z dziećmi długo mieszkała w Moskwie, dopiero cztery lata temu mał i ojciec znalazł dla nich mieszkanie na Syberii, w jednym z rejonów Bracka. Ale i tak bywa w tym mieszkaniu nie dłużej jak przez trzy-cztery miesiące w roku, zawsze mogą się go spodziewać pod koniec grudnia. Niech tylko słono mocniej przygrzeje, Piotr Agoonow — podobnie jak inni ludzie z geologicznej „branży” — myśli o dniu powrotu na szlak.

W Bracku tajga wchodzi między mieszkalne bloki, ale to życie nie dla niego. Zbudowali więc w kilku domkach o trzynaście kilometrów dalej, nad strumieniem, leniwie przeczczając się do Angary. Nie jest to —

Z ZSRR pisze
STANISŁAW M. JANKOWSKI

TAJOŻNIK — BRAT SZATUNA

zdaniem Borysa — jeszcze prawdziwa tajga, taka jaka geologiczne grupy oglądają podczas swoich wielomiesięcznych wędrówek.

— Miasta tu nie widać ani nie słychać. Oddychać można i nikogo nie interesuje, jak żyjemy.

Tak więc najczęściej podczas zimowych „wakacji”, w miesiącach, w których badań geologicznych prowadzić nie sposób — tutaj właśnie wypoczywają. Zupnie jakby mieliśkiego życia nie chcieli znać — a przyzwyczajeni od lat do wielkiej ciszy — inaczej już żyć nie umieli. Powiadała o geologach, że po latach pracy każdy z nich stał się dzikim: niedziedziła się taki nie boi, a w moskiewskim metrze nie czuje się zbyt pewny siebie.

Tak sobie gadając, dochodzimy do chatki. Nad strumieniem przetruciono dwa długie sosnowe bale. Borys przemawia po nich w kilku krokach, ja idę powoli, kurczowo trzymając się poręczy. Pare metrów dalej kilkanaście, hyle jak odosyniony bał, w oknie migoczące światło, a dym gęsto idzie z komina.

— Zapnij! Piotr dość ostro, nie będzie miał pości — mówi Borys o zwierzchniku i razorem przyjacieli. — Ale nie wiadomo czy butelki zamrozi. Wstawać mu trudno, to nie musi wlec za sobą, tu od trzech tygodni. Geolog nie umie chodzić na chodnikach, poraż mu być w mieście niż niedziedziłowi w składzie porcelany.

Boracz o botanicy harach i wesoło tłumacząc ich oczach czeka na nas, siedząc przy stole. Taboret podstawił pod okno, a w ręku chłodził i swój bech. Obiecał żonie i córce, że pójdzie razem na noworoczne zabawy. Wyraża się jak niedy, bo choć ma blisko niedziedziłostki, sił do tańca jeszcze nie brakuje. Córka uważa go za dziwaka i odwraca, więc chciał ją przekonać, że odtęci wrażliwość normalnym mężczyzną a nie tylko geologiem.

— Był taki film o geologach. Nazwał się „Wiosna w górach”. Zrobiono z nas w tym filmie kilka kadrów, sam się dzwoniłem, że ten mój chłód chodził do śmiechu. A tu teraz, taki nie. Kiedyś uwiecznili na tarczach jakiegoś kłosa i owoce, tak trzęba było widać w domu, przy tej idiotycznej słuszności, która nazywała telewizorem. Chcieliśmy się „pokazać” w tym roku... Na, tenieś się nie denerwować. Mł Borys — na flaszkę. Zaraz za progiem w śnieg ją wzięliśmy.

W chwili późnej siedzimy już przy stole, zastawionym z szubryjską gościnnością. Jest więc ucha — rybna zupa, wielka chochla czarna z kociolka. Sa nieimiennie nadziwane mielonym miewem z cebulką, oczywiście, przeprawione słoniem. Ze skrzynki na szafie wydłagał gospodarz kilka fiarek, wczoraj przez tena przysławionych „pł z samego Bracka”. Do tego herbata z samowaru opieczona niecioma tulskim medalami. I butelka ze śnie-

gu za progiem, wsadzona do garnka, żeby na stół nie kapala.

Gospodarz opowiada o najświeższych geologach. Dzisiaj piszą o nich w encyklopediach i podręcznikach. Taki Paweł Ługow, na przykład. Na Plaskowym Syberyjskim, nad Leną i Jenisejem jako pierwszy znajdował diamenty. Carski rząd nie chciał się interesować sukcesami i propozycjami zeznań. W kilkadziesiąt lat później ruszyły wyprawy Burowa i Sobolewa.

— No i potwierdziło się, że Jakucja siedzi na diamentach. Władza radziecka nie była bogata jak carskie państwo. Zainteresowano się tymi kamyczkami — wtrąca Borys ze śmiechem. — Ekipa Fajnszajna o kilka lat po wojnie też znalazła nad Wilujem sporo diamentów. Teraz mamy w Mirnym cały diamentowy przemysł. Wielkie drągi i koparki wydobywają z wody diamentowy piasek, a rentowny wyszukują w nim diamenty... No to... pod diamenty.

Dziwają się, kiedy mniej zainteresowani diamentami wole słuchać o ich codziennej pracy. Nie nadzwyczajnego — odpowiada, przekonani że zagadują tak z grzeczności. Bierze się trochę ciepłego ubrania, lekerstwa, kilka strzelb i takie jedzenie, które w tajdze nie zależe. Namiot, parę wółków, śpiworów i koców. Na wiosnę potrzebne są narty, w lecie siatki osłaniające od



„maszki” i komarów. W tajdze zawsze można było się wyżyć. Jak kto dobrze szła, zje tu o wiele lepiej niż w renomowanej moskiewskiej restauracji.

— Bez czekania na kelnera i daty, dopisane do rachunku... No, teraz za tajgę i tych, co dobrze strzelają...

Dawniej korzystali z sań, wielki ze sobą konie z baretaami, a w niektórych rejonach poruszali się na grzbietach reniferów. Agoonow musiał chodzić pieszo — żaden renifer nie uszedłby z nim pięciu kroków. Dzisiaj na kład za geologami ruszyła „cywilizacja”. W bazie, rozbitej gdzieś w sercu tajgi, mała dwaj dysonaliści jeden lub dwa helikoptery. Jest radiostacja o wielkim zasięgu, od świata można na niej „ogadać”. Radiotelefony, magnetofony, telewizory z przystawką kasetową, przechoń reniferowi całe tony rozmaitych techniki. O tamtych, nienieśmielnych wyprawach szedł dla młodzi słuchacza z niedowierzaniem, a to były w życiu Piotra i Borysa najpiękniejsze lata.

— No, Pietie — onowicie gospodarza została przetrwana przez Brysa — uwielbiamy sa łata, które nieistoty nie wyrodo... I słoszczymy się, nieśmielnie, prosimy...

„Maszka” — przekleństwo każdego, kto znalazł się w tajdze. Obszerna człowiecza stadnia, pozostawione przez diabła zamieniają się w rany. Wleczna zamrażalnia, zdradliwa i bezlitosna, nawet nie wiesz kiedy rozstąpi się pod nogami, wleczając człowieka w grzęzawisko. Deszcz, padający bez przerwy przez dwa, trzy tygodnie. Smrodliwe mchy w rozmaitych wykwotach, wśród bagien, nad rzekami i notkami na dziś dzieł nie mającymi nazwy. A także nieznanymi nikomu, za wielkim burliackim czy jakurkich myśliwych. I równocześnie kwiaty — niekiedyś nie w botanicznych ogrodach. Woda czysta, wrócić ze śródl. Cudowne noce przy gitarze i gwizdach, rozsypanych na niebie, coraz to bardziej frantujące wyniki badań, sukcesy o takich nawet nie myśleli, wychodząc w swoją wielomiesięczną wędrówkę.

— Czas spełnić toast za to, żeśmy tu nie zmarowali, no tajdze łąząc. Dość czasu z sobą, co?

O czym by jeszcze gościowi opowiedzieć? O niedziedziach samotników, zwanych „szatunami”, które potrafią wleść do namiotu geologów, szukając tam pożywienia? O wilkach, wylających noce o sto metrów za obozowiskiem? A może raczej o bezsennych nocach, kiedy myśli się o domu i najbliższych?

— Jak samolot nie dowiezie soli — jeszcze można wytrzymać. A kiedy nie ma listów z domu i pamięrosz — już się nie chce — dodaje gospodarz, ponownie wskazując Borysowi „leśdówkę” za progiem.

— Przyjeść co trzeba. Wynijemu za zdrowie tych, którzy nie boją się „szatunów” i rumatyzmu. Za geologów — ludzi tajgi, krótko mówiąc; za tajożników...

Tajemnica Machu Picchu

Z Peru pisze ZBIGNIEW GUZOWSKI

Zachwycony PABLO NERUDA napisał:

Wtedy schodami wstąpiłem pomiędzy strasnym gąszczem zagubionych lasów aż ku Tobie, o Machu Picchu! wysoki grodzie z kamienia, przybytku tego, czego nie ukiła ziemska w usypionych swych szatach. W Tobie nby równoległe dwie linie kółka białawicy, kółka człowieka poruszającego się swobodnie w ciemnych porwach. Tędy nogi człowieka spoczywały w nocy. Obok nóg ora na wysokich łóżach młodzieńców, o świecie gnieli oni stopami promy przeczczony tuman i dotykali ziemi i kamieni, zanim się rozpoznawali w ciemności lub w śmierci

oto Machu Picchu jest w zasięgu ręki i wzroku. Tylko leje deszcz, a chmury i mgły bardzo ograniczają widoczność. Kto bardziej niecierpliwy mimo wszystko decyduje się na wleźdzenie. Raptem niby na skłinenie jakiegoś przyjaznego a wszechwładnego bóstwa przesłania pada, pojawia się słońce...

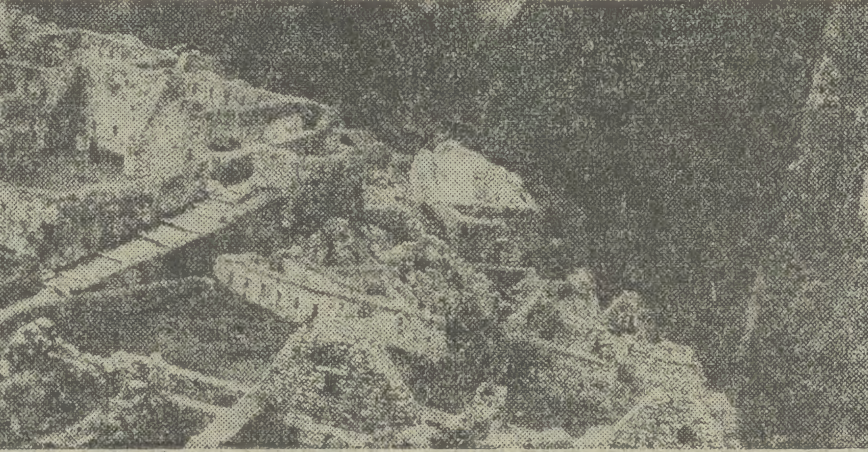
Już wokół samego odkrycia Machu Picchu narosła legenda. Sensacyjnie wręcz brzmi wersja, według której dzungla przez cztery wieki ukrywała miasto w swym wnętrzu i dopiero trudem archeologów zostało wydane na światło dzienne. Bardziej prawdopodobnie brzmi przypuszczenie, że Machu Picchu wskazał ostatni mieszkający tu Indianin. Jakby nie było pierwszy zobaczył je amerykański profesor uniwersytetu w Yale — Hiram Bingham i odkrył dla współczesności. A Zagubione Miasto Inków, jak zwykło się określać Machu Picchu, już ponad 60 lat niezmiennie zachwyci i trapię swą tajemniczością.

Jest tu i dzungla, lecz „zatrzymała się” w znacznym odstepie od murów kamiennego grobu, w miejscu którego widł jedyny dostęp do miasta. Leży Machu Picchu na stromym pagórze, otoczonym ścianami niebożyczych gór, z trzech stron odgródzone przepaścią, której dnem toczy się rzeka Urubamba.

Oto ulica wiodąca w głąb miasta. Po lewej stronie są ku górze kamienne fragmenty zabudowań, po prawej opadają ku przepaści — na podobieństwo gigantycznych schodów — tarasy, uprawiane przed wiekami. Kunszt bezimiennych kamieniarzy zdecydowanie przewyższa koncepcje architektoniczną. Wszak inkaskie pałace, świątynie czy domy — jak utrzymują znawcy przedmiotu — były repliką (często w ogromnej skali) chaty wieśniaka, takiej, jaką przetrwała w andyjskich dolinach. Cztery ściany z kamieni układanych bez zaprawy, dach dwuspadowy pokryty strzechą, kamienne odrzwia i niszowe wewnętrzne — taki był powtarzalny się wzorec. Te pewna monotoność i surowość fasad rekompensuje zadziwiający układ kamieni, bowiem nikt poza Inkami nie posiadał takiej doskonałości w spójaniu nawet największych bloków skalnych.

Głównymi źródłami błędów wśród tych kamienich zakamarków, przemierzając coraz to nowe schody, osiągać różny poziom budowli, wpatrywać co kryje się za kolejnym zalemem muru, ploszyć łamy i alpski, pasące się na tarasach, których dzisiaj nikt nie uprawia, choć zachowały swą żyźność. Trzeba dać wiarę informacjom, że Machu Picchu liczy kilka tysięcy schodów, że występuje tu 80 odmian otchłidei.

Znawcy kultury Inków potrafili zidentyfikować przeznaczenie wielu obiektów — Świątynię Trzech Okien, Święty Plac, budynki dla Dziewic Słońca, które wyodrębliły się z najznakomitszych w społecznej hierarchii rodów, a ich zadaniem było podtrzymywanie świętego ognia oraz



zanie, bo obawiał się zamachów na swoje życie ze strony innych wziętników. W 1939 r. Al Capone, ciężko chory na syfilis, nie stanowił już żadnego zagrożenia dla społeczeństwa. Przesłany do więzienia w Bostonie, wkrótce został zwolniony i zmarł na wolności w 1947 r. Inni groźni przestępcy, często odsiadujący wyroki dożywotnie, nie mając już nie do stracenia, podejmowali próby ucieczki. Z 24 takich prób, najprawdopodobniej jedna się nie powiodła — uciekinierzy byli wtapianymi lub gnieli od kul strażników, innych — a tych była większość — pochłonięti łodami wody Pacyfiku. Tylko jeden J. P. Scott zdołał przepłynąć odległość 2,5 mil od wyspy, ale upragnionego brzegu nie osiągnął i dościsnięty przez straż, był nieomal zupełnie wyczerpany.

Najśłynniejsza — a niektórzy twierdzą, że udana — ucieczka podjęta została w 1962 r. przez T. Morrisa oraz braci J. i C. Anglinów. Zdołali oni użyckami wykopać ze swoich cel długie tunie, a na ichkach położyli kulchy, aby opóźnić odkrycie swej nieobecności. Wcześniej uciekinierzy zrobili sobie własnoręcznie składowie, które miały ochronić ich przed zimnem oceanu. Do dziś nie wiadomo czy udało im się przedostać na ląd.

W 1963 r. ze względu na olbrzymie koszty związane z prowadzeniem więzienia, zdecydowano się je zamknąć. I kiedy władze San Francisco zastanawiały się nad przyszłością wyspy, została ona opanowana przez Indian z plemienia Siouarów, potulających się na oki z 1868 r. który, gwarantował Siouarów prawo do ziemi, nie mającej specjalnego przeznaczenia. I zanim władze San Francisco zdołały przekonać Indian oraz innych reflektantów, że wyspę powinni opuścić, większość budynków na Alcatraz została zdewastowana.

W ostatnich latach Alcatraz spełnia jedynie rolę muzeum. Chętnych obejrzenia więzienia i poznania historii wyspy, a także wysłuchania opowieści o groźnych przestępach i słynnych ucieczkach — jest wielu. W sezonie letnim — a byłam tam w początkach września — bilety sprzedawane są na miesiąc wcześniej. Po niedługo, które dostać można na miejscu w kasie, kolejka ustawia się od 7 rano, 30 lat temu — mówią przewodnicy — nie było takich kłopotów z dostaniem się na wyspę.

sporażdzanie odzieży dla króla, posługującego się szatą tylko jeden raz. W miejscu górującym nad miastem zachowała się świątynia z ołtarzem ofiarnym. Z położonej jeszcze wyżej, dokąd docierała się kamiennymi schodami za cenę utraty icht, rozpościera się wspaniały widok na całe Machu Picchu w którego obrazie dominuje szarość kamienia, dzieł porastającej miasto roślinności oraz granat, przechodzący w czerń okolicznych gór, które to przesłaniają się to odkrywają spod wełnowi chmur i mgieł. Jedyna w swoim rodzaju, niepowtarzalna kompozycja — prawdziwy cud natury i efekt pracy człowieka.

Pomimo długoletnich badań Machu Picchu wciąż pozostaje zagadką i strzęp swych tajemnic. Według jednej z hipotez to miasto, wzniesione na wysokości 2300 m, łącznie z pobliską (twierdzą Ollantaytambo, miało chronić imperium Inków przed plemionami, zamieszkanymi rejonu porośle dzungla. Zdaniem innych badaczy „podziemne miasto Inków” powstało już po zajęciu przez Hiszpanów inkaskiej stolicy — Cusco: być może tu schroniły się ostatni władcy Inków, Atahualpa, gdyby mu udało się wydostać z rąk Pizzara. Istnieją opinie, że w tym osamotnionym, ale samowystarczającym mieście Inkowie żyli przez lat osiemdziesiąt jeszcze wówczas gdy Hiszpanie panowali już nad całą Ameryką Południową a śmierć miasta nastąpiła z nieznaną przyczyną. A więc ostatnia Inków stolica? Odkrywa Machu Picchu. Hiram Bingham, znalazł tu m. in. 135 dobrze zachowanych mumii kolejnych i dziecięcych. Stąd wywodzi się inna, kolejna teza, głosząca że Machu Picchu było miejscem zamieszkania licznych żon i konkubin królów inków. Zagadka, której na imię: Machu Picchu wciąż pozostaje nieodgadniona.

Ponoć aby ujrzyć w pełni piękno Machu Picchu, trzeba zobaczyć tu wchód i zachód słońca. Ci, którzy zobaczyli, utrzymują, że takich barw nie ma w żadnym innym miejscu świata i to pozwala zrozumieć dlaczego Inkowie czcili słońce, umarli je za najwyższe bóstwo. Niestety wchód ani zachód nie zobaczymy. Zbliży się czas powrotu.

Znow wypełniają się pasażerami autobusy, które mają do pokonania siedemsetmetrowy zbocze, do poziomu rzeki Urubamba, gdzie na maleńkiej stajce oczekuje kolejka waskatorowa. Za moment kilka fragmenty kamiennych murów, kierowcy brawurowo pokonują odcinki niegłębiej zakosami drogi. Szyszy jest młode, dziesięć, może dwunastolatki, ubrana w czerwona koszulka. Zbiegając w dół na wprost, czeka na pojazd na kolejnych odcinkach trasy Zakrzęzy, pomacha reklam, zwrócił na siebie uwagę i nędzę gna po zboczu. I tak na sam dół. Zastyszany, rozsznity, obtopak dumny ze swego wyczynu zdąży dobiec wagoników, zanim kolejka ruszy. Nie pogardzi słodyczami. Zostaje na peronie i uniesiony! ramionami. Na znak podziwowania. Na pożegnanie z Machu Picchu!

San Francisco w pierwszym dniu pobytu najlepiej widać tramwajem. Słynne, jedynie na świecie tramwaje linowe dowożą do każdego prawie miejsca, nawet na „szczyty” spadających ulic (całe miasto położone jest na wzgórzach) skąd podziwiać można wspaniałą panoramę z bajkowymi zatokami, nad którymi przerzucono gigantyczny wiszący most — „Złote Wrota”. Projekt budowy mostu rozcił się w początkach lat 30., a wtedy uważano to raczej za fantazję projektanta niż za dzieło możliwe do zrealizowania. Budowę, kosztująca jak na ówczesne ceny ogromną sumę 35,5 mln. dolarów rozpoczęto w 1933, a ukończono w 1937 r. i odtąd most nazywany jest jednym z „cudów” stworzonych rękami człowieka. Przez ponad 40 lat „Złote Wrota” przyciąga swym pięknem malarzy, fotografów, turystów i... samobójców. W 1979 r. liczba osób, które popełniły samobójstwo skacząc z mostu, była 700. Dziwić może dlaczego akurat w tym pięknym miejscu, tak wiele osób postanawia przedwcześnie zakończyć życie. Sądzę, że to nie „wina” miasta, ale złożonych problemów, przed jakimi stanąć muszą ludzie i z którymi nie mogą sobie poradzić. Wielu przyjeżdża do San Francisco w nadziei, że „miasto z bajki” odmieni wszystko. Zmienia się otoczenie, ale problemy pozostają te same i wtedy widzą już dla siebie tylko jedną drogę, tę którą prowadzi na barierę „Złotych Wrot”.

W tym samym dniu, kiedy zaczynało pierwsze prace przy budowie mostu, dwie mile dalej, na wyspie Alcatraz kończono ostatnie roboty przy umocnieniach więzienia, które później przeszło do historii jako The Rock (Skala). Nazwę tę zawdzięczał i swemu położeniu i systemowi umocnień, który wszelkie próby ucieczki czynił nierealny.

Zwieszając San Francisco, szczególnie przy lekkiej wale, gdy nie widać umocnień na wyspie, Alcatraz wygląda malowniczo i spokojnie. Podobny zapalone widok przedstawiał miasteczko wyspa w 1775 r., kiedy to odkryła została przez Hiszpanów pod wodzą Dona Juana Manuela de Ayala. Wówczas jedynymi jej mieszkańcami byli pelikany — dlatego też Don Juan nazwał wyspę „Isle de Alcatrazes”. Niezamiennie skłania, przetrwała w dzie-

wiecznym stanie do początku XIX w., kiedy to przeszła w posiadanie Meksyku i stała się azylem dezertierów z wojen i rebeliantów amerykańskich.

W 1845 r. Pio Pico, meksykański gubernator Kalifornii podarował wyspę Julianowi Workmanowi, pod warunkiem, że wybuduje na niej latarnię. Zamiast jednak zabrać się do budowy latarni, Workman oddał wyspę wojennemu zięciowi, a ten z kolei sprzedał ją rządowi Stanów Zjednoczonych za 5 tys. dolarów. Będąc już w posiadaniu USA, wyspa używana była głównie w latach 1854-1868 przez wojsko — jako forteca i latarnia. Od 1868 r.,

spełniała dodatkowo funkcję więzienia wojskowego. W tym stanie przetrwała do 1934 r. jako miejsce redukcji więźniów z lekkimi wykroczeniami. Ale nadszedł początek lat 30., okres prohibicji i gwałtownego nasilenia przestępczości w USA. Najgroźniejsi przestępcy tamtych lat uciekali z różnych stanowych więzień niemal tak szybko jak się tam dostawali, stanowiąc poważne zagrożenie dla społeczeństwa. Budowanie nowych więzień w okresie kryzysu i licznych kłopotów wydawało się zbyt kosztowne. Postanowiono więc zbudować dodatkowe umocnienia na Alcatraz, które od tego czasu stało się najcięższym i niebezpiecznym do ucieczki więzieniem, miejscem zesłania najgroźniejszych przestępców. Pierwszymi więźniami „zawitał” tu na sierpień 1934, była to stosunkowo mała grupa około 30 mężczyzn. Więźnie zresztą nigdy nie byli przeladowani — największa liczba więźniów nie przekraczała 300.

Praktycznie z Alcatraz nie można było uciec. Skaliste

brzegi wyspy, straż, łodzie patrolowe obserwujące brzeg przez 24 godziny — wszystko to dawało mocne i pewne zabezpieczenie. Więźniów informowano o tym już w pierwszym dniu pobytu. Ale naczelnik przestrzegał również, że morze wokół wyspy pełne jest głodnych rekinów, którym obcięto jedną płetwę — wobec czego mogą pływać tylko wokół wyspy. Później — kontynuował naczelnik — woda w Pacyfiku ma tak niską temperaturę, że po 30 minutach przebywania w niej człowiek zamara. Od momentu przybycia do Alcatraz, całym dniami i latami więźniowie osadzeni byli w pojedynczych celach, bez

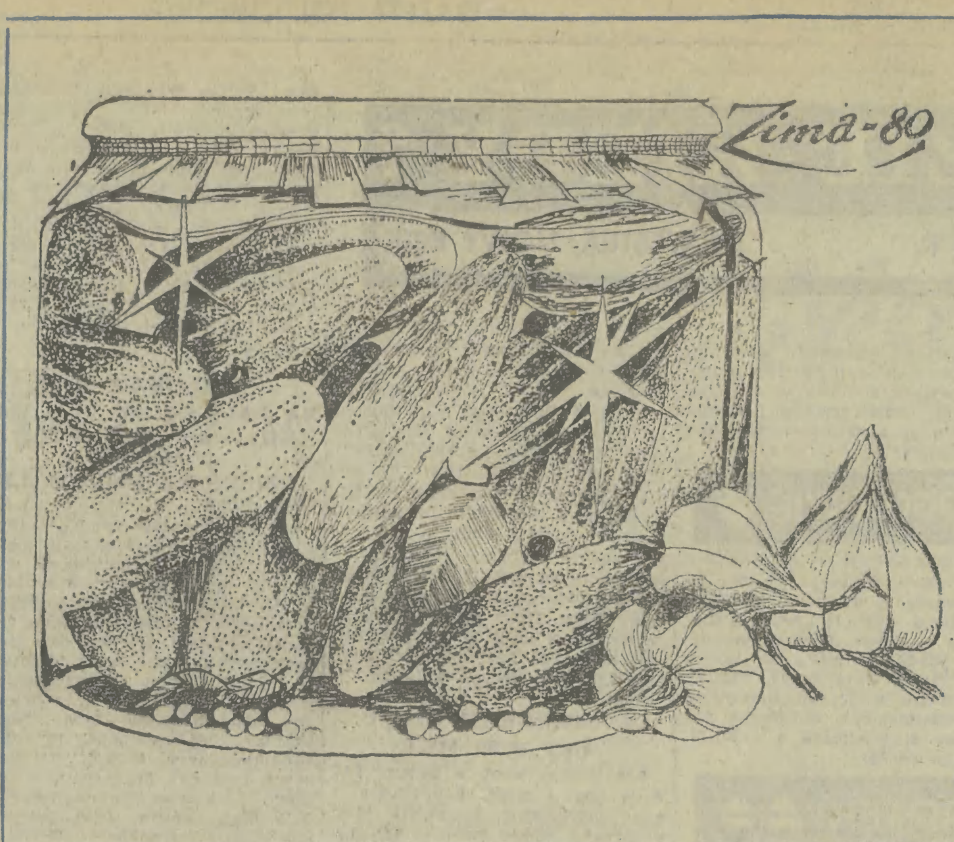
możliwości porozumiewania się z sobą. Strażnicy, którzy pilnowali celi i wyprowadzali więźniów na spacer, nie mieli przy sobie ani broni, ani kluczy. Posiadali je natomiast inni strażnicy, zamknięci w specjalnych wieżach. Zrzucałi oni klucze dopiero wówczas, kiedy więźniowie mieli wyjść do jadalni lub na dziedziniec. Te środki ostrożności zapobiegały wszelkim próbom zdobycia kluczy i broni w wypadku obezwładnienia strażnika. A gdy już zaistniała taka sytuacja, ci z wieży strzelali najpierw do swego kolegi, a potem do więźnia.

W okresie 50 lat funkcjonowania więzienia przebiegało to przez nie wiele słynnych i groźnych przestępstw. Najbardziej znanym był Al Capone, który przebywał na Alcatraz do 1939 r. Początkowo pracował w pralni (o czym wielu więźniów z satysfakcją pisało w listach do rodzin — „wielki Al Capone pierwszą nam rzecz”), potem spędził prawie trzy lata w osobnej, ciemnej celi, bez żadnych przywilejów — ale to już na własne ży-

ALCATRAZ

Z USA pisze
MARIA PIOTROWSKA

STYCZEN	LUTY	MARZEC
1 W Nowy Rok, Mieczysław 2 S Izydora, Makarego 3 C Danuty, Genowefy 4 P Eugeniusza, Tytusa 5 S Edwarda, Szymona 6 N Kacpra, Melchiora 7 P Juliana, Lucjana 8 W Mściława, Seweryna 9 S Marcelego, Marcinny 10 C Jana, Wilhelma 11 P Honoraty, Matyldy 12 S Arkadiusza 13 N Bogumiły, Weroniki 14 P Feliksa, Hilarego 15 W Domostawa, Pawła 16 S Marcelego 17 C Antoniego 18 P Małgorzaty, Piotra 19 S Henryka, Mariusza 20 N Fabiana, Sebastiana 21 P Agnieszki, Jarosława 22 W Anastazego 23 S Ildefonsa, Rajmunda 24 C Felicji, Tymoteusza 25 P Miłosa, Pawła 26 S Pauliny, Polikarpa 27 N Jana, Przybysława 28 P Radomira, Walerego 29 W Franciszka 30 S Macieja, Marłyny 31 C Jana, Marcelli	1 P Brygidy, Ignacego 2 S Marii, Miłoslawa 3 N Błażeja, Hipolita 4 P Andrzejka, Weroniki 5 W Adelaży, Agaty 6 S Bohdana, Doroty 7 C Romualda, Ryszarda 8 P Jana, Piotra 9 S Apolonii, Cyryla 10 N Jacka, Scholastyki 11 P Lucjana, Marii 12 W Eulalii, Modesta 13 S Grzegorza, Katarzyny 14 C Walentego, Zenona 15 P Faustyna, Jowity 16 S Danuty, Julianny 17 N Łukasza, Zbigniewa 18 P Konstancji 19 W Konrada, Mansweta 20 S Leona, Ludmiły 21 C Eleonory, Feliksa 22 P Małgorzaty, Marty 23 S Damiana, Romany 24 N Bogusza, Macieja 25 P Cezarego, Wiktorę 26 W Aleksandra 27 S Anastazji, Gabriela 28 C Makarego, Romana 29 P Romana	1 S Albina, Antoniny 2 N Heleny, Radosława 3 P Kunegundy 4 W Kazimierza, Lucji 5 S Adriana, Fryderyka 6 C Róży, Wiktora 7 P Pawła, Tomasza 8 S Dzień Kobiet, Beaty 9 N Franciszki 10 P Cypriana, Marcelego 11 W Konstantego 12 S Bernarda, Grzegorza 13 C Bożeny, Krystyny 14 P Leona, Matyldy 15 S Klemensa, Ludwika 16 N Hilarego, Izabeli 17 P Patryka, Zbigniewa 18 W Cyryla, Edwarda 19 S Bogdana, Józefa 20 C Eufemii, Klaudii 21 P Benedykta 22 S Bogusława 23 N Feliksa, Pelagii 24 P Gabriela, Marka 25 W Marii, Włodzisława 26 S Emanuela, Teodora 27 C Ernesta, Lidii 28 P Anieli, Sykstusa 29 S Eustachego 30 N Amelii, Jana 31 P Barbiny, Kornelii



ZIMA

Wszyscy weszli do ciepłych domów, zboże śpi
w zacisznej stodole:
padają ciepłe śniegi, białe śniegi padają na
pole (...)
aż się niebo opróżni, oziębł, a ziemia się napelni
po brzegi (...)

KAZIMIERA ILLAKOWICZÓWNA

„W lecie bez roboty, w zimie bez bu-
tów”.

„Spyta cię zima zarazem: byłeś w
lecie gospodarzem?”

„Kto chodzi po ziemi, nie upadnie”.

„Lepszy rok na ziemi niż sto lat na
marmurze”.

Szczęśliwego Nowego Roku życzy Rolnikom Wojewódz- ki Związek Spółdzielni Rolniczych „SCH” w Krakowie

WIOSNA

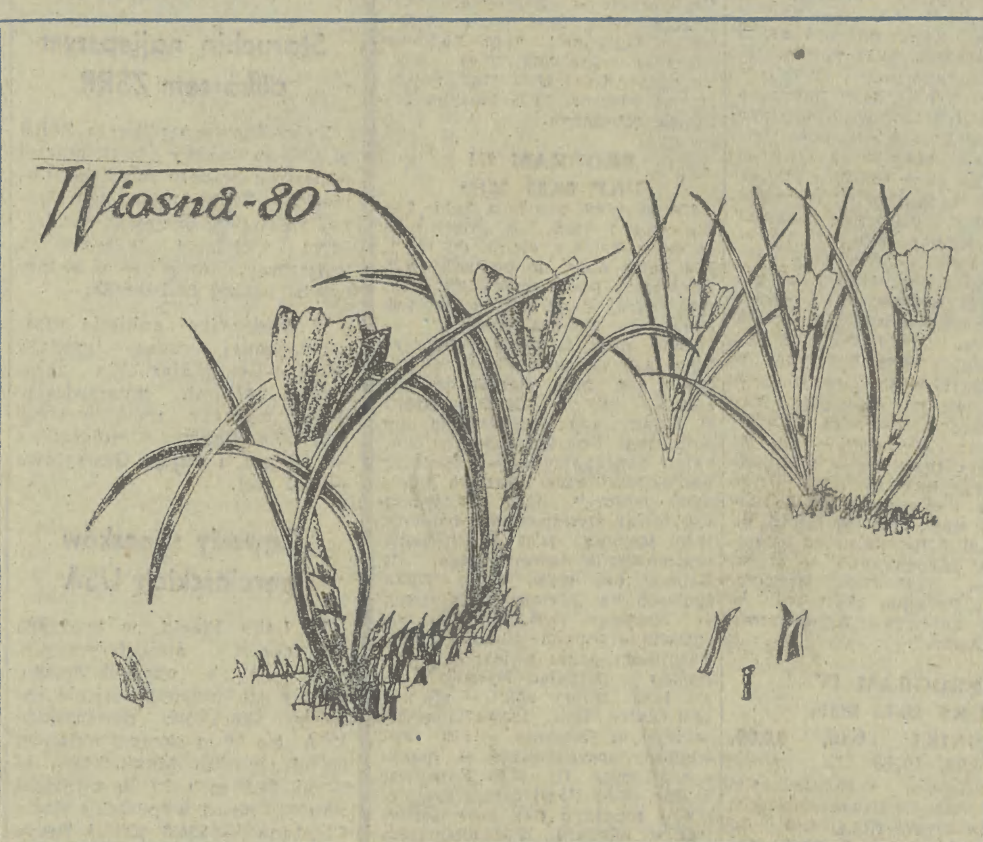
Niech lato kopy liczy, niech jesień winnice
Upzta, i przestronne napelnia piwnice.
Bachusowi niech się zima mięsopusty
Szczyci, w które pozwala cnej młodzi rozpusty.
Wiosna wszystkimu czołem. Ona śniegi zbiera...

WESPASJAN KOCHOWSKI

„Wiosna panna, lato matka, jesień
wdowa, zima macocha”

„I wiosna by tak nie smakowała, gdy-
by przedtem zimy nie było”.

„Na pszennej ziemi tak się nie uro-
dzi jak w głupich głowach”.



KWIECIEŃ	MAJ	CZERWIEC
1 W Grażyny, Teodory 2 S Franciszka 3 C Pankracego 4 P Izydora, Wacława 5 S Ireny, Wincentego 6 N Wielkanoc, Wilhelma 7 P Donata, Rufina 8 W Dionizego 9 S Marcelego, Marii 10 C Makarego, Michała 11 P Filipa, Leona 12 S Juliusza, Lubosława 13 N Przemysława 14 P Justyny, Waleriana 15 W Anastazji, Bazylego 16 S Julii, Kseni 17 C Roberta, Rudolfa 18 P Bogusławy 19 S Adolfa, Tymona 20 N Agnieszki, Czesława 21 P Anzelma, Feliksa 22 W Leona, Łukasza 23 S Jerzego, Wojciecha 24 C Aleksandra 25 P Jarosława, Marka 26 S Marceliny, Marzeny 27 N Teofila, Zyty 28 P Pawła, Walerii 29 W Piotra, Roberta 30 S Katarzyny, Mariana	1 C Święto Pracy, Filipa 2 P Anatola, Zygmunta 3 S Antoniny, Marii 4 N Floriana, Moniki 5 P Ireny, Waldemara 6 W Jana, Judyty 7 S Ludmiły, Ludomira 8 C Stanisława, Wiktora 9 P Dzień Zwycięstwa 10 S Antoniny, Izdora 11 N Franciszka, Mamerta 12 P Dominika 13 W Roberta, Serwacego 14 S Bonifacego 15 C Jana, Zofii 16 P Andrzejka 17 S Brunona, Weroniki 18 N Aleksandra, Eryka 19 P Mikołaja, Piotra 20 W Bazylego, Bernardyna 21 S Tymoteusza 22 C Heleny, Wiesławy 23 P Twony, Michała 24 S Joanny, Zuzanny 25 N Grzegorza, Urbana 26 P Filipa, Pauliny 27 W Jana, Juliusza 28 S Augustyna, Jaromira 29 C Magdaleny, Teodorji 30 P Feliksa, Ferdynanda 31 S Anieli, Petroneli	1 N Jakuba, Konrada 2 P Erazma, Marianny 3 W Klotyldy, Leszka 4 S Franciszka, Karola 5 C Boże Ciało 6 P Pauliny, Norberta 7 S Roberta, Wiesława 8 N Maksyma, Medarda 9 P Felicjana, Pelagii 10 W Bogumiła, Małgorzaty 11 S Barnaby, Feliksa 12 C Jana, Onufrego 13 P Antoniego, Lucjana 14 S Bazylego, Walerego 15 N Jolanty, Wita 16 P Aliny, Justyny 17 W Laury, Marcjana 18 S Elżbiety, Marka 19 C Gerwazego, Protazego 20 P Bogny, Florentyny 21 S Alicji, Alojzego 22 N Flawiusza, Paulina 23 P Wandy, Zenona 24 W Danuty, Jana 25 S Lucji, Wilhelma 26 C Jana, Pawła 27 P Marii, Włodzisława 28 S Ireneusza, Leona 29 N Piotra i Pawła 30 P Emilii, Lucyny

Owoce i warzywa niezbędne dla zdrowia – w sklepach Krakowskiej Spółdzielni Ogrodniczo - Pszczelarskiej

Napoje mleczne z Wojewódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej pij o każdej porze roku!

LIPIEC	SIERPIEŃ	WRZESIEŃ
1 W Haliny, Mariana 2 S Marii, Urbana 3 C Anatola, Jacka 4 P Innocentego, Teodora 5 S Antoniego, Karoliny 6 N Dominiki, Lucji 7 P Cyryla, Metodego 8 W Elżbiety, Prokopa 9 S Weroniki, Zenona 10 C Amalii, Filipa 11 P Olgi, Pelagii 12 S Gwalberta, Jana 13 N Ernesta, Małgorzaty 14 P Bonawentury 15 W Henryka 16 S Eustachego, Marii 17 C Aleksandra, Bogdana 18 P Kamila, Szymona 19 S Wincentego 20 N Czesława 21 P Andrzejka, Daniela 22 W Święto Odrodzenia 23 S Apolinarego, Bogay 24 C Kingi, Krystyny 25 P Jakuba, Krzysztofa 26 S Anny, Mirosławy 27 N Julii, Natalii 28 P Innocentego 29 W Marty, Olafa 30 S Julii, Ludmiły 31 C Ignacego, Ludomira	1 P Justyna, Piotra 2 S Gustawa, Kariny 3 N Augusta, Lidii 4 P Dominika 5 W Marii, Stanisławy 6 S Jakuba, Sławy 7 C Doroty, Kajetana 8 P Cypriana, Emiliana 9 S Romana, Romualda 10 N Borysa, Wawrzyńca 11 P Włodzisława 12 W Klary, Lecha 13 S Diany, Hipolita 14 C Alfreda, Euzebiusza 15 P Marii, Stelli 16 S Joachima, Rocha 17 N Jacka, Mirona 18 P Bronisława, Heleny 19 W Bolesława, Juliana 20 S Bernarda, Sobiesława 21 C Franciszki, Joanny 22 P Cezarego, Tymoteusza 23 S Apolinarego, Filipa 24 N Bartłomieja, Jerzego 25 P Ludwika, Luizy 26 W Marii, Zefiryny 27 S Józefa, Kalasantego 28 C Augustyna, Patrycji 29 P Jana, Sabiny 30 S Róży, Szczesnego 31 N Bohdana, Rajmunda	1 P Bronisławy, Idziego 2 W Juliana, Stefana 3 S Izabeli, Szymona 4 C Rozalii, Róży 5 P Doroty, Wawrzyńca 6 S Beaty, Eugeniusza 7 N Melchiora, Reginy 8 P Marii, Radosława 9 W Piotra, Sergiusza 10 S Łukasza, Mikołaja 11 C Jacka, Prota 12 P Gwidona, Marii 13 S Eugenii, Filipa 14 N Bernarda, Cypriana 15 P Albina, Nikodema 16 W Edyty, Kornela 17 S Franciszka, Justyna 18 C Ireny, Józefa 19 P Januarego 20 S Eustachego, Filipiny 21 N Hipolita, Mateusza 22 P Maurycego, Tomasza 23 W Bogusława, Tekli 24 S Gerarda, Teodora 25 C Aurelii, Ładysława 26 P Cypriana, Justyny 27 S Damiana, Kosmy 28 N Marka, Wacława 29 P Michaliny, Michała 30 W Hieronima, Zofii



LATO

NA ŻNIWO

Już Ceres pod sierp osądziła kłosy,
A sama, białe rozczesawszy włosy,
Po żyznych niwach wiąże w okrąg snopy,
Szykując w polach długim rzędem kopy (...)

KASPER MIASKOWSKI

LIPIEC

„Wakacje, panie profesorze! Pora
trześć wesoło słowa jak futra na wiosnę
oraz czasowniki przez dni odmieniać (...)

JULIAN PRZYBOS

„Lepsze jedno lato niż dwie zimy”.

„Szczęśliwy gospodarz, którego się
ziemia słucha”.

Smacznie, tanio i do syta w restauracjach gminnych spółdzielni „Samopomoc Chłopska”.

Rolnik! Pasze gospodarskie z dodatkiem „Pro- witu” – to opłacalność hodowli trzody.

Rolnik! Stosowanie nawozów mineralnych zapewnia wysokie plony.

JESIEŃ

Jabłka świecą na drzewach jak węgle w popiele,
Wiatrak pęka ze śmiechu i powietrze miele (...)
Już kasztan się ospał i ociepla ranki;
o, młody przyjacielu, poszukaj kochanki
z małym domkiem, ogródkiem, sennym fortepianem,
która by włosy twoje czesała nad ranem (...)

KONSTANTY I. GALCZYŃSKI

„Jesień tego nie zrodzi, czego wio-
sna nie zasiała”.

„Ziemie dobrej niebo i czas wiele po-
maga”.

„Rolnik co pole orze, nie wie co mo-
rze”.



PAŹDZIERNIK	LISTOPAD	GRUDZIEŃ
1 S Danuty, Remigiusza 2 C Dionizego, Teofila 3 P Gerarda, Teresy 4 S Franciszka, Rozalii 5 N Apolinarego, Placyda 6 P Artura, Brunona 7 W Marii, Marka 8 S Brygidy, Pelagii 9 C Dionizego, Ludwika 10 P Franciszka, Pauliny 11 S Aldony, Emila 12 N Eustachego 13 P Edwarda, Teofila 14 W Bernarda, Kaliksta 15 S Jadwigi, Teresy 16 C Ambrózego 17 P Małgorzaty, Wiktora 18 S Juliana, Łukasza 19 N Piotra, Ziemowita 20 P Ireny, Jana 21 W Hilarego, Urszuli 22 S Filipa, Korduli 23 C Seweryna, Teodora 24 P Marcina, Rafała 25 S Darii, Krystyny 26 N Ewarysta, Lucjana 27 P Iwony, Sabiny 28 W Szymona, Tadeusza 29 S Euzebii, Narcyza 30 C Przemysława 31 P Augusta, Saturnina	1 S Święto Zmarłych 2 N Bohdana, Bożydara 3 P Huberta, Sylwii 4 W Karola, Olgierda 5 S Elżbiety, Sławomira 6 C Feliksa, Leonarda 7 P Rocznica Rewolucji Październikowej 8 S Sewera, Wiktorina 9 N Teodora, Ursyna 10 P Andrzejka, Ludomira 11 W Bartłomieja, Marcina 12 S Renaty, Witolda 13 C Mikołaja, Stanisława 14 P Serafina, Wawrzyńca 15 S Alberta, Leopolda 16 N Edmunda, Gertrudy 17 P Grzegorza, Salomei 18 W Anieli, Romana 19 S Elżbiety, Seweryna 20 C Anatola, Feliksa 21 P Janusza, Konrada 22 S Cecylii, Marka 23 N Felicyty, Klemensa 24 P Flory, Jana 25 W Erazma, Katarzyny 26 S Konrada, Sylwestra 27 C Waleriana, Sylwestra 28 P Grzegorza, Zdzisława 29 S Błażeja, Saturnina 30 N Andrzejka, Justyny	1 P Elżbiety, Natalii 2 W Barbiny, Pauliny 3 S Franciszka 4 C Barbary, Piotra 5 P Krystyny, Sabiny 6 S Emiliana, Mikołaja 7 N Ambrózego, Marcina 8 P Marii 9 W Leokadii 10 S Daniela, Julii 11 C Damazego 12 P Adelaży, Aleksandra 13 S Lucji, Otylii 14 N Alfreda, Izdora 15 P Celiy, Waleriana 16 W Albiny, Zdzisławy 17 S Łazarza, Olimpii 18 C Bogusława 19 P Dariusza, Urbana 20 S Dominika, Teofila 21 N Jana, Tomasza 22 P Honoraty, Zenona 23 W Sławomira, Wiktorii 24 S Adama i Ewy 25 C Boże Narodzenie 26 P Dionizego, Szczepana 27 S Jana, Maksyma 28 N Cezarego, Teofili 29 P Dominika, Tomasza 30 W Eugeniusza 31 S Melanii, Sylwestra